

PARADA



W KWIETNIU 1945 R.
A P R I L 1945 (2nd ISSUE)

Nr 9 (53)

ROK III
CZ. w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów



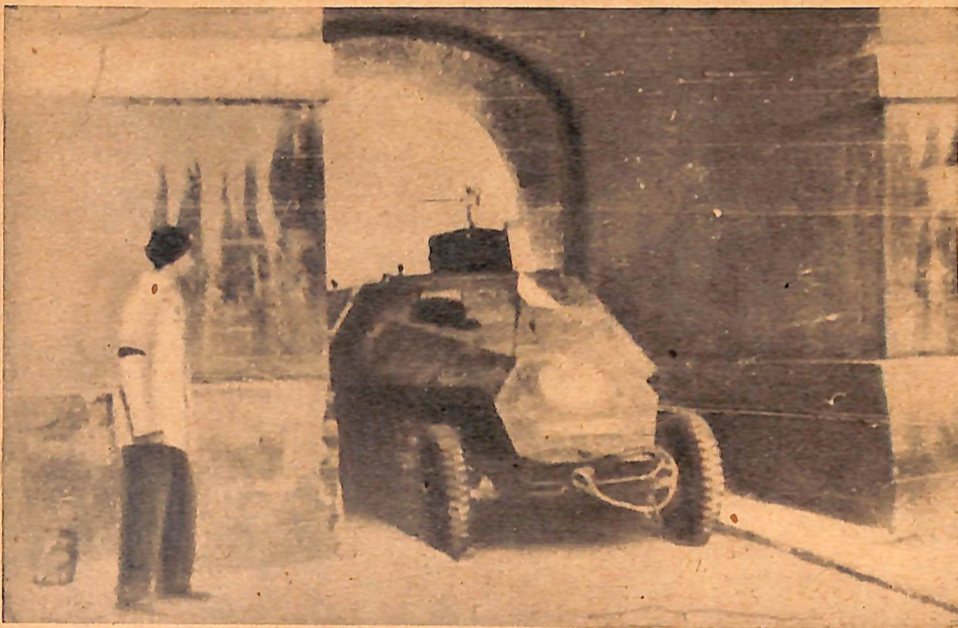
Plakat na murach Warszawy



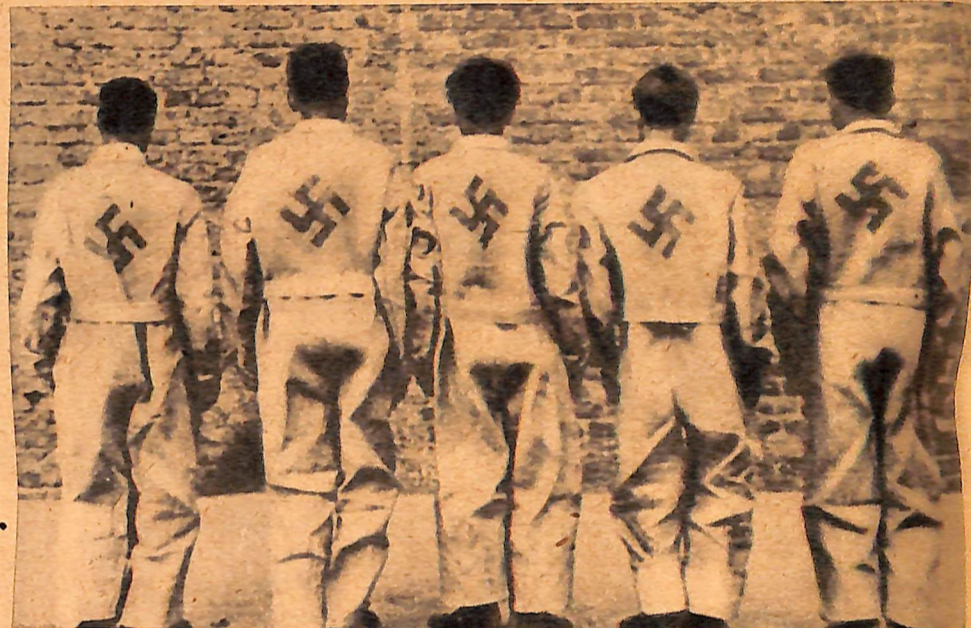
Figura Chrystusa przed kościołem Sw. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, ocalała przed zniszczeniem



Sztandar oddziału słowackiego walczącego wspólnie z Armią Krajową



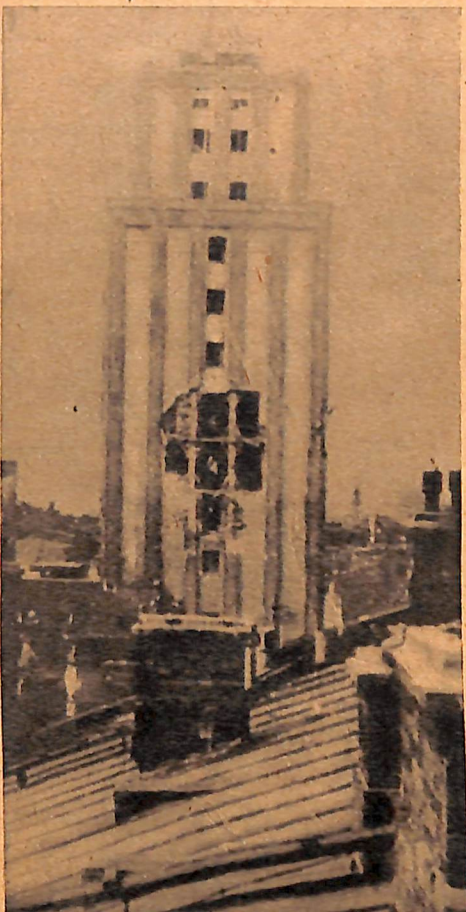
Polski samochód pancerny wyrusza do akcji



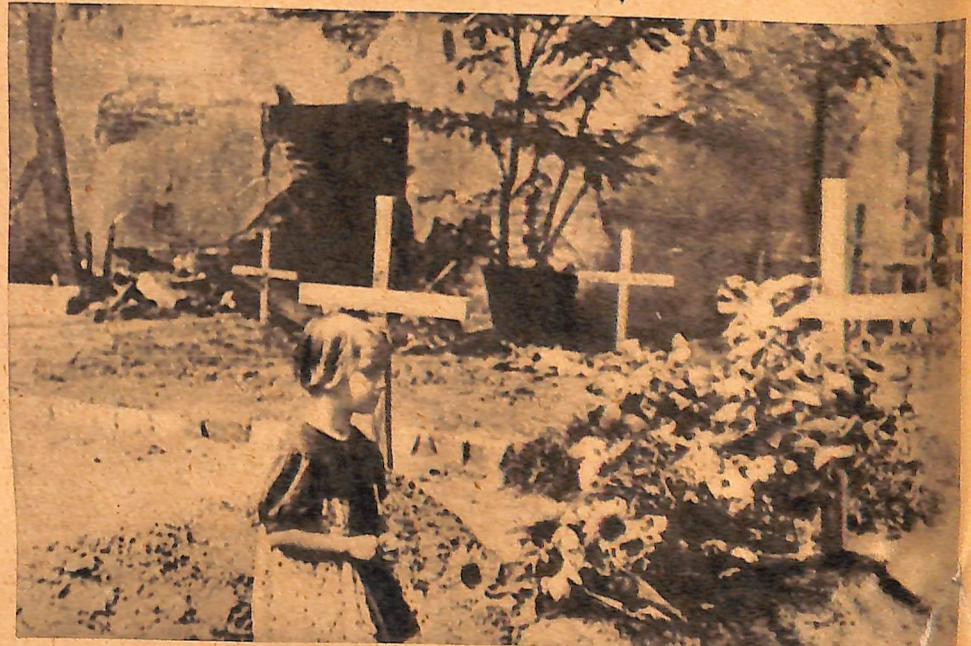
Niemcy wzięci do niewoli

WARSZAWA
1 9 4 4

Drapacz chmur na Placu Napoleona, który ocalał po Wrześniu, zniszczony w czasie powstania ↓
Posterunek przed wejściem do Kwatery Głównej Armii Krajowej



Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli po zdobyciu Centrali Telefonicznej przy ulicy Zielnej ↓
Jeden z wielu cmentarzy ulicznych w Warszawie





Śmierć prezydenta Roosevelta jest wielkim ciosem dla narodów sprzymierzonych. Był On wielkim mężem stanu, politykiem i przywódcą swego narodu, a zarazem wyznawcą niezłomnym i szermierzem tych ideałów, które stanowią moralny fundament naszej cywilizacji.

Świeżo mamy w pamięci Jego orędzie z dnia 6 stycznia br. wygłoszone do członków Kongresu. Był to jakby testament polityczny wielkiego prezydenta. Roosevelt w orędziu swym uwypuklił ideowy sens tej wojny, ponieważ wskrzesił Kartę Atlantycką, przypominając niewzruszalne prawo wszystkich narodów do wolności i suwerennego bytu. Przestrzegał przed cynizmem czasów obecnych.

To On był tym, który nazwał Polskę „natchnieniem świata”. W słowach tych chciał złożyć hołd narodowi, który nie handluje swoimi prawami, lecz o nie walczy, narodowi zawsze wiernemu idei wolności.

Czterokrotnie wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych Roosevelt stanowi epokę w dziejach narodu amerykańskiego. Obok premiera Churchilla jest on pierwszoplanową postacią wojny światowej, którą przeżywamy. Potężna koalicja narodów anglosaskich, której rola w wojnie i w okresie przyszłego pokoju, napawa nas nadzieją, że światem rządzić będzie prawo, a nie siła — w znacznym stopniu jest Jego dziełem.

W czasie kampanii wyborczej w roku 1936 prezydent Roosevelt powiedział w jednej ze swych mów: „współczesne pokolenie spotka się twarzą w twarz z przeznaczeniem”. Miał On głęboką — niekiedy wprost wizjonerską świadomość epoki przemian, jaką zainaugurowała druga wojna światowa. Przygotował Stany Zjednoczone do wojny i do roli, jaką pragnął, by odegrały w przyszłej organizacji świata. Jego koncepcje polityczne znamionowała odwaga i wielka wyobraźnia. Ich cechą ogólną była ludzkość.

Lease-Lend, rozbudowa sił zbrojnych i przemysłu wojennego Stanów Zjednoczonych — Karta Atlantycka — oto wielkie rozdziały w Jego monografii, która mówić będzie zarówno o rzeczach dokonanych, jak i o tych, do których Roosevelt dążył.

UPADEK NIEMIEC

Zniszczony bombami tor kolejowy w Niemczech



„W szybkości i brutalności tkwi nasza siła. Dżyngis Chan wyrznął miliony kobiet i dzieci, a uczynił to z pełną świadomością i szczęśliwym sercem. Historia widzi w nim tylko twórcę państwa. Jest mi obojętne, co o mnie powie bezsilna cywilizacja zachodnio-europejska. Wydałem rozkaz — a za jedno choćby słowo krytyki stawiać będę przed plutony egzekucyjne — że nasz cel wojenny polega nie na osiągnięciu pewnych linii, a na fizycznym zniszczeniu przeciwnika. Moje oddziały śmierci są już gotowe, chwilowo jedynie na wschodzie, z rozkazem tracenia mężczyzn, kobiet i dzieci

polskiego pochodzenia i języka. Bez żadnej litości! Tylko w ten sposób zdobędziemy potrzebny nam Lebensraum”... „Przed wami, panowie, sława i zaszczyty, jak jeszcze nigdy. Bądźcie twardzi, bez litości! Działajcie szybciej i brutalniej, niż inni! Dreszcz trwogi wstrząsnąć musi zachodnią Europą”...

W górach Bawarii, w Obersalzberg przemawiał tak Hitler do elity generałów niemieckich, 22 sierpnia 1939 roku. Tym zaczął wojnę — rozkazem totalnego niszczenia i zapowiedzią kolejnego likwidowania wszystkich partnerów, wrogich czy wówczas jeszcze sprzymierzonych.

NASZA OKŁADKA



Uzdrowieńczy

Fot.: Michałski

W numerze:

W ALZACJI — NAD RENEM — Roman Fajans

ZAKWITĘY KROKUSY — Tadeusz Szumański

PORUCZNIK WŁOSKI PISZE KSIĄŻKĘ O LWOWIE — Tadeusz Pniowski

IGRCE POD FRONT WALĄ — Jan Bielatowicz



Ludność Rzeszy tuła się po drogach



Wreszcie i oni zaznali wojny

Liczył na siłę Niemiec, od lat bez wytchnienia akumulowaną w dziecińcach i szkołach, w domach i fabrykach, liczył również na terror. Uderzył w dzwon trwogi. „Es zittern die morschen Knochen der Welt — heut vor dem neuem Krieg”... śpiewała młodzież niemiecka, wierząca w siebie, a po układzie monachijskim pewna swego, jak jeszcze nigdy przedtem, pewna mocy własnej i demoralizacji cudzej. Tak zaczęli wojnę Niemcy, jak kończą ją dzisiaj?

Dreszcz trwogi wstrząsa obecnie Niemcami. Szybkość i brutalna siła są nie po ich stronie. Przez Rzeszę przechodzi paroksyzm wojennego zniszczenia, jakiego Niemcy jeszcze nigdy nie zaznali, chaosu i załamania wszystkich więzów organizacji społecznej i państwowej. Młot potęgi Sojuszników rozbił największy mit niemiecki: niezwyciężalności armii. Rozbił i jeszcze jedną legendę, w którą do niedawna wierzyło jeszcze wielu przeciwników, legendę demona niemieckiego,

jakoby nadal wszechpotężnego i wręcz cudownego. Niedocena siły Niemiec przed wojną była przesadą, jej obecne przecenienie okazało się również niewłaściwe. Przekraczając łatwo Ren, armie anglo-amerykańskie zadały cios ostatni i decydujący. Rozpoczął się początek końca Trzeciej Rzeszy.

Klęska, widoczna od udanej inwazji Normandii, pogłębia się i powiększa z każdym dniem błyskawicznej inwazji terytorium Niemiec, z każdym domem rozwalonym, z każdą nową setką poległych dzieci, którym tylko fanatyzm każe walczyć, z narastającą ciągle masą uchodźców niemieckich, pędzonych rozkazem i strachem ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód. Niemcy zbierają dzisiaj burzę z wiatru, który posiali. Żniwo, ich własne żniwo, jest straszne: ruiny, groby, nędza, upadek i pewny niemal podział kraju. To samo, co przynosili ze sobą do krajów napadniętych i okupowanych przez siebie, a co dzisiaj

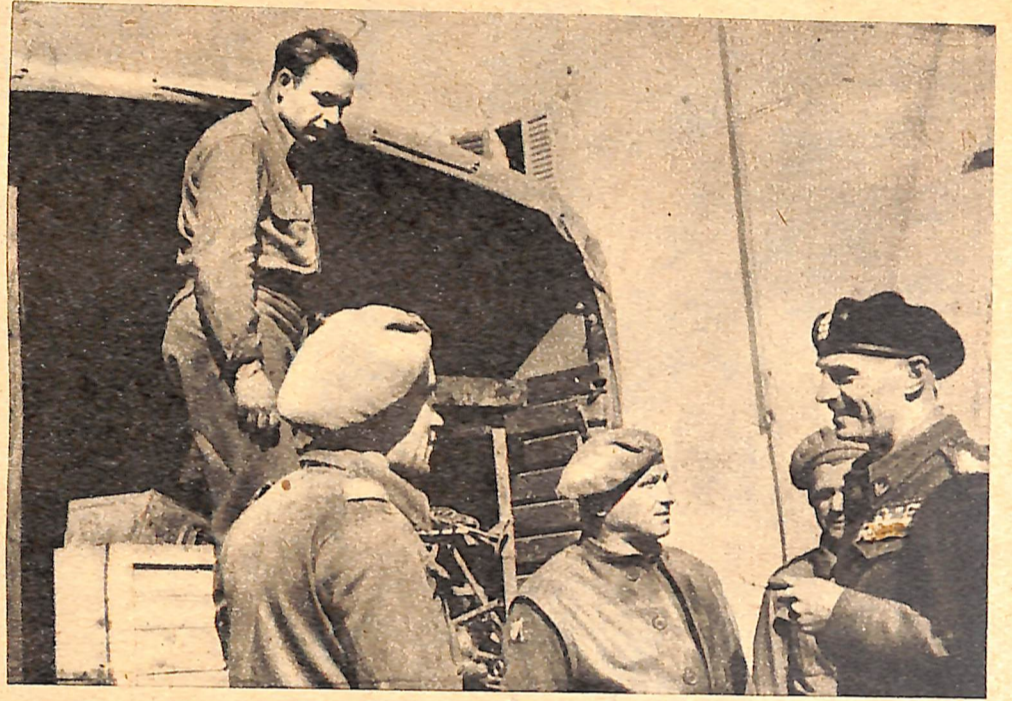
↓ Młodzież niemiecka przypatruje się wkraczającym wojskom sojuszniczym



NACZELNY WÓDZ W DRUGIM KORPUSIE



Trzy zdjęcia z ostatniego pobytu Naczelnego Wodza Gen. Dym. Wł. Andersa w oddziałach 2 Korpusu, w tej Jego — jak rozumieją to wraz z nim żołnierze — „rodzinie”



każe nam bezlitośnie oceniać żniwo niemieckie jako — wspaniałe. Wspaniałe dla nas.

Rozkład Niemiec, likwidacja ich jako wiecznie czynnego źródła wojen, zaborów i przetargów europejskich, musi być dokonana od wewnątrz i zewnątrz. Dziś realizuje się równocześnie, częściowo samobójczymi rękami samych Niemców, składających raz jeszcze dowód niedojrzałości politycznej. Kończy się wojenna, rozpocznie się pokojowa likwidacja dotychczasowej pozycji niemieckiej. Wzięliśmy wybitny udział w pierwszej, wziąć powinniśmy i w drugiej akcji. Zwycięstwo wojenne nad Niemcami jest również naszym polskim zwycięstwem! Bombardowana i palona we wrześniu 1939 roku, ciemiężona przez pięć lat, zniszczona w sierpniu i wrześniu 1944 Warszawa jest największym, choć najstraszniejszym jego pomnikiem.

Piszemy o zwycięstwie, bo klęska Niemiec jest już rzeczywistością, wypisywaną krwawymi znakami na ciele powalnego wroga. Bo i my czerpiemy z niej codziennie nowe siły, strumieniem nieustającym spływające do szeregów wojska polskiego, z uwalnianych obozów jeńców, z miejsc niewolniczej pracy, spod obcego znaku, siłą niewolącego. Dopiero ta, przecież i nasza, rzeczywistość klęski Niemiec daje podstawę wyjściową dla pomyślniejszego ukształtowania powojennej Europy.

Problem niemiecki nie jest łatwy. Tym bardziej, że rozwiązywanie go dotyczy kraju, najbardziej centralnie w Europie położonego i narodu, który będąc europejskim, nie jest, nie umie być świadomą częścią tego kontynentu. Zadanie pokojowej likwidacji niebezpieczeństwa niemieckiego wydaje się znacznie trudniejsze od wygranej już wojny. Jest mniej mechaniczne, a bardziej organiczne, związane najściślej ze strukturą społeczeństwa niemieckiego, w którym wszyscy bez wyjątku należeli do jednej organizacji patryjnej, — w którym fanatyzm hitlerowski doszedł do władzy nie w drodze rewolucji, a ewolucji, świadomie i dobrowolnie.

Jest kilka cyfr, które powinny być znane wszystkim żołnierzom sojusznikom w Niemczech, i wszystkim, od których zależy jakkolwiek praca, jakkolwiek współdziałanie z ludnością niemiecką, czy oddziaływanie na Niemców. Pierwsza, to liczba miejsc, uzyskanych przez partię hitlerowską w izbach ustawodawczych

(Landtage) siedemnastu krajów Rzeszy, w wyborach wolnych i demokratycznych 1932 roku: 486 posłów wobec 415 socjaldemokratycznych i 168 komunistycznych. Jeszcze wyraźniej wyglądała ewolucja w parlamencie Rzeszy. W lipcu 1932 roku hitlerowcy zdobyli 230 mandatów, stosunek ten przedstawiał się już, jak: 288 : 120. Dwanaście dalszych lat zniósł całkowicie wszelkie zestawienia porównawcze, zamieniając je na jedną absolutną cyfrę i wartość: jednej opinii, jednej miary, jednego fanatyzmu.

Nie można pomijać tego dzisiaj, kiedy na terenach okupowanej Rzeszy trzeba korzystać z takiego, czy innego współdziałania Niemców, kiedy największa na-

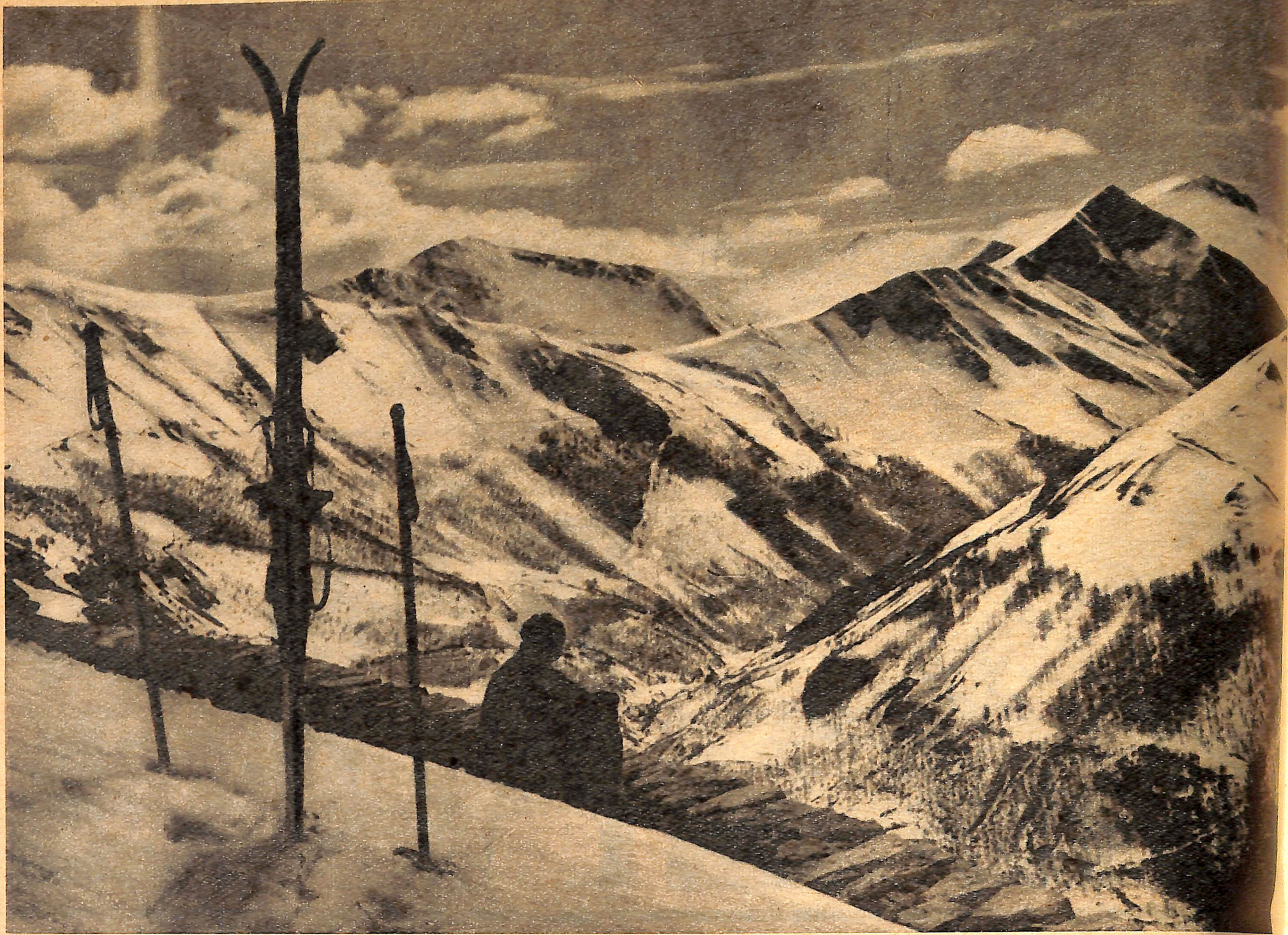
wet nienawiść i uczucie odwetu i sprawiedliwości nie mogą odizolować całkowicie Niemiec od reszty Europy, kiedy trzeba będzie rozpocząć wychowywanie i tworzenie jakiegoś nowego społeczeństwa niemieckiego. Fotografie, przedstawiające ludność niemiecką w ogonkach przed amerykańską kuchnią żołnierską, czy obłudny uśmiech młodzieży, która jeszcze przed kilku dniami nosiła mundur HJ, czy BDM, stanowią jaskrawą ilustrację trudności, przed jakimi stawia nas problem niemiecki, widziany i rozwiązywany od wewnątrz. Zewnętrznie punkt ciężkości tkwi nie tyle w przygotowywanym już chaosie i partyzancie, zbrojnej i „ideologicznej”, ile w zdolności i umiejętności zwycięzców istotnego

wzmocnienia sąsiadujących z Niemcami państw.

Kończy się wojna z Niemcami, wojna zorganizowana. Rozpoczyna się trudna rozgrywka pokojowa, w której Niemcy będą zorganizowanym kontrpartnerem, działającym na własnym terenie, i w której od nich również wyjdą, stare w nowej formie, próby ratunku: będzie to gra podwójna, na chaos i rewolucję z jednej, na zachodnią cywilizację i ewolucję z drugiej strony. Jednak szanse tej nowej wojny odwetu, są bardzo małe. Przebieg wojny ustalił na dziesiątki lat upadek Niemiec, wyniszczonych materialnie i biologicznie. I to jest największy i równie ważny dla wszystkich wynik sześciu lat wojny. T. S.

Tysiące jeńców napływają codziennie





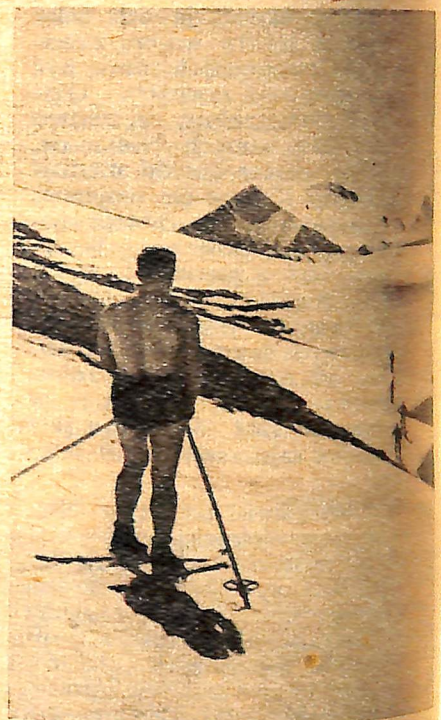
Zapatrzony w szczyty

W górach zima jeszcze się nie skończyła

Tadeusz Szumański

Zakwitły krokusy...

Szusz na wiosennej łączce



Wypoczynek przed zjazdem





Spod śniegu wychylają się lilowe płatki krokusów, jak na Chochołowskiej...



Słońce szybko zmienia bladą twarz „cepra” na ciemny brąz

Jak co roku, jak zawsze, spowolnienie topniejącego śniegu — przynaglanego w dzień słońcem, a powstrzymanego w noc mrozem — wychylają swe ostre lilowe czubki. Lilowieją nimi doliny, a przechodzący narciarze nie miną ich, nie obdarzając uśmiechem.

Wiosna w górach... gdzie zima najdłużej się broni, cofając się coraz wyżej, niechętnie ustępując palącemu słońcu, by czasem niespodzianie nocą spruszyć wszystko dokoła świeżym śniegiem, ku radości narciarzy.

Hej... czy pamiętasz jeszcze wiosnę w Tatrach?

Czy pamiętasz Kasprowy, Żółtą, Świnię, Gładką, Cichą i tyle innych szczytów, przełęczy, dolin i żlebów. Wszystko lśniło osłepiającym śniegiem, poprzerznanym śladami nart. Słońce z granatowego błękitu prażyło pędząc mgiełki z nad stawów i dolin. Od czasu do czasu przetaczał się głuchy huk — to, którymś ze żlebów zsunęło się mrowie wesółych narciarzy. Regle, zbocza, doliny i nartostrady rozbrzmiewały okrzykami, śpiewem i śmiechem. W Kuźnicach barwny tłum czekał na swą kolejkę w kolejce. Na Kasprowym tłumnie opalały się cepry, by brązową skórą upodobnić się do starych zakopiańskich wygów. Lecz tych wiele tam nie było; wyptoszeni gwarem ciągnęli do Pięciu Stawów, lub Rozstoki, by w ciszy szukać skrawków nietkniętego śniegu, na którym można by położyć swój własny ślad.

Tak było... i tak zapewne będzie.

Dziś tylko małe grono polskich żółnierzy mogło skorzystać z zaproszenia Anglików do narciarskiego Rest-Campu w Sarnano, na marcowy śnieg w Apeninach.

Na pewno nie żałują.

Znikły gdzieś koszmarnie ubiegłe lata, zapomnieli, że są w obcych górach, mieli znów przed sobą... Tatry. Taka sama rzeźba gór, takie same hale z pasącymi się owcami, te same strumyki, ten śnieg i słońce, a wreszcie — krokusy. Brak tylko regli i tej beztrudnej radości, cośmy ją gdzieś w swej wędrówce zgubili.

Brak tych, z któryśmy ją dzielili.

Krótki, lecz niezapomniany to był urlop dla tych, co kiedyś cały rok czekali na tatrzańską wiosnę. Nie sposób przy tym nie wspomnieć o bajecznej organizacji i gościnności gospodarzy — Anglików.

Gdy zwykły, szary strzelec, wyekwirowany od desek z kandaharami do okularów słonecznych, wracał pod wieczór zmęczony, lecz szczęśliwy, zastał swój pokój pięknie posprzątanym, buty wyczyszczone, spodnie wyprasowane, skarpetki wyprane, a obok gotową gorącą wannę. Zrozumiał — że ma urlop. Że przez tych kilka dni on jest pan — że nie będzie się martwić czy dostanie jeść, gdzie i jak będzie spać. Łatwiej mu zrozumieć, że urlop jest nagrodą za pracę, za trud, za walkę i krew.

Lecz może to nie ważne — może nawet nie jest ważne, że się kończy pierwszy tom wojny. Najważniejsze może jest to, że w Tatrach krokusy znów zakwitły, jak zawsze, jak co roku. I będą też kwitnąć, gdy przemienią — okupanci i „oswobodziciele”, — jak po każdej, najsroźszej nawet zimie.

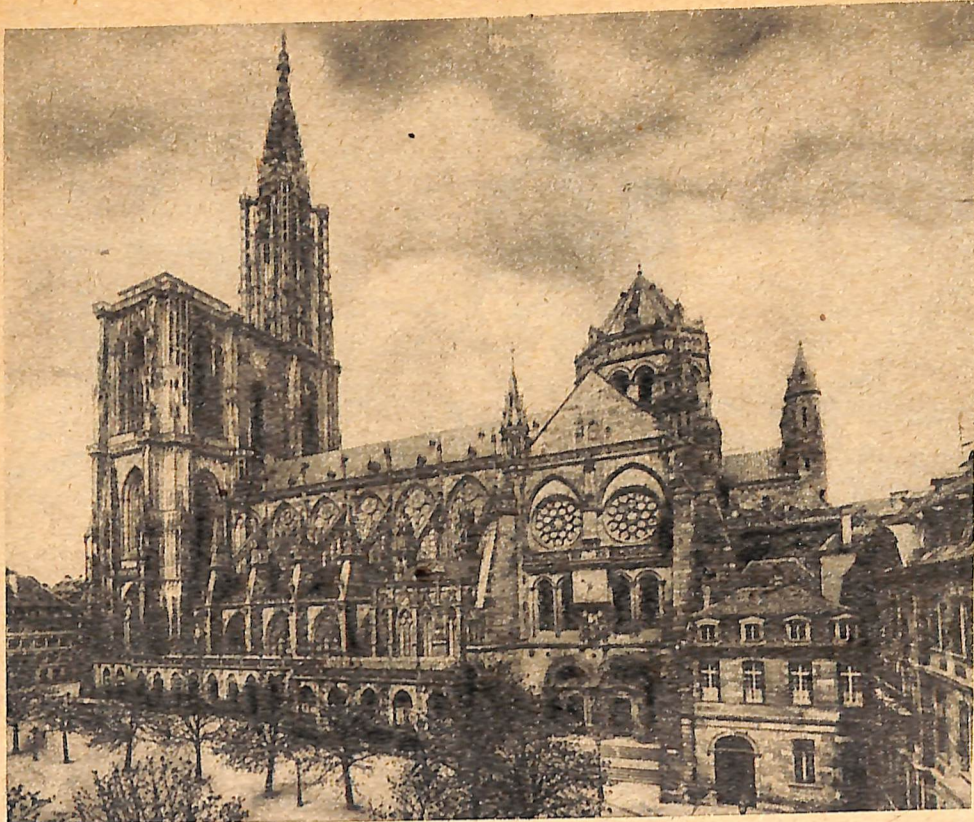
Tadeusz Szumański



Wiosenny śnieg lśni się w słońcu jak naftalina

Zamiast kolejki linowej na szczyt odchodził pospieszny łaźnik





Katedra w Strasburgu

WALZACJI— —NAD RENEM

Korespondencja własna „PARADY” — ROMAN FAJANS

Z niemałą ciekawością wyruszałem w podróż do Alzacji i na front reński. Wiedziałem, że tam właśnie będę mógł najlepiej zetknąć się z francuską rzeczywistością wojenną. Przecież tu właśnie stoczone zostały pierwsze zwycięskie boje odrodzonej armii francuskiej i tutaj organizują się jej nowe jednostki. W drodze pierwszy raz zatrzymaliśmy się w Nancy, gdzie trzeba było przenocować. To piękne miasto, tak ściśle związane z Polską przez osobę króla Stanisława Leszczyńskiego, naogół nie wiele ucierpiało wskutek działań wojennych. Przepiękna katedra gotycka nie utraciła ani jednego witrażu. Na placu Stanisława, nazwanym tak ku czci Stanisława Leszczyńskiego i będącym jego dziełem, stoi nadal piękny pomnik polskiego króla.

Nazajutrz, przez Epinal, wjeżdżamy w Wożęzy. Im bardziej wędzimy się w malownicze góry, tym więcej spotykamy śladów wojny. Miasto Charmes jest prawie zupełnie zburzone. Również Epinal, słynne niegdyś ze swych obrazków kolorowych dla dzieci, bardzo ucierpiało. Wzdłuż zniszczonej szosy, coraz więcej rozbitych czołgów, dział i samochodów. Mijamy często jeńców niemieckich, narpawiających szosę. Niektórym z nich wypisano kredą na plecach litery „P.W.” (Prisoners of War).

Za Belfortem, do którego dobiliśmy po ciężkiej podróży, wjeżdżamy na nizinę lotaryńską. We wsiach, przed domami, piętrzą się kupy nawozu. Wysokość ich wskazuje na bogactwo rodziny, zamieszkującej dom, i na posag córki na wydaniu. Taka tu jest, od wieków, tradycja. Szkody wojenne są tu niewielkie. Miasteczka tętną spokojem i pogodą, jak niegdyś, w dobrych, pokojowych czasach. Idylla ta nie trwa jednak długo. Napotkana francuska bateria ciężkiej artylerii zmotoryzowanej (działa 115-milimetrowe) jest znakiem, że wjechaliśmy na odcinek I armii francuskiej generała de Latire de Tassigny. Jedziemy wzdłuż betonowego rowu przeciwzołgowego, napełnionego wodą. Należał on do linii Maginot'a. Liczne blokhausy, zakamuflowane w lesie, leżą rozbite, niepotrzebne nikomu.

Mijamy Cernay, w połowie zniszczone. Tutaj przełamany został niemiecki front alzacki. Na ścianach domów są jeszcze

napisy niemieckie. Hotel „Zum weissem Roessl” zaprasza nas w swe rozwalone mury, bez dachu. Przed ruinami budynku administracyjnego poniewiera się w błocie złoty orzeł ze swastyką. Wymowny symbol sytuacji „Herrenvolku”.

Jeszcze kilka alzackich miasteczek i znajdujemy się u stóp góry, pokrytej sosnowym lasem. Na szczycie dostrzegamy wielki zielony budynek. Jest to kwatery prasowa I armii francuskiej.

ROZMOWA Z SEKRETARZEM PREZ. ROOSEVELTA

Zielony budynek był luksusowym sanatorium. Mieszkam w nim od wczoraj i mam pozostać tu jeszcze dziesięć dni. Sanatorium to mieści obecnie korespondentów wojennych i „staff” oficerów, niewiasty i niższych funkcjonariuszy Kwatery Prasowej I armii francuskiej. Stąd korespondenci i korespondentki wyjeżdżają na wycieczki na niezbyt odległy front, stąd wysyłają swe depesze i artykuły.

Władcą tego królestwa prasy jest major Barlone, wielki przyjaciel dziennikarzy. Rządzi nim z wielkim taktem. Cenzorów jest trzech: major amerykański, kapitan francuski i porucznik Francuz. Wśród korespondentów wojennych jest najwięcej Francuzów, są Amerykanie, Anglicy, jeden Rosjanin i niżej podpisany. Widujemy się przeważnie tylko przy śniadaniu i wieczorem. Całe dni spędza się w drodze. Odwiedzamy front, obozy ćwiczebne, oddziały, objeżdżamy Alzację. Zaponajemy się z nową armią francuską, organizowaną na tej pięknej ziemi alzackiej.

Wczoraj nasza Kwatera Prasowa miała swój wielki dzień. Odwiedził ją p. Stephen Early, osobisty doradca i sekretarz prezydenta Roosevelta, odbywający obecnie podróż informacyjną po froncie zachodnim. Jest on jedną z najbardziej wpływowych osobistości politycznych Stanów Zjednoczonych, co tydzień prowadzi w Waszyngtonie konferencje prasowe Białego Domu i jest na nich rzecznikiem prezydenta Roosevelta: Nazywają go w Ameryce „szarą eminencją” dziennikarzy. Cierpliwość jego i wyrozumienie dla przedstawicieli prasy są tam legendarne i prawdziwie angielskie. Jako dziennikarz zawodowy był już w 1919 r.



Do Renu — 200 metrów

Przebieg...



członkiem redakcji „Stars and Stripes”, później zaś współpracownikiem „Associated Press”, rozumie on doskonale blaski i cienie tego zawodu.

Stephen Early przybył do nas w towarzystwie generała Allen, szefa P. R. SHEAF'u, generała Tupper, szefa P. R. VI grupy armii, pułkownika Wardena, szefa cenzury SHEAF'u i innych wyższych oficerów. Średniego wzrostu, dość tęgi i krzepki, o siwiejących włosach i młodej, energicznej twarzy, p. Early stanowi ten idealny typ Jankesa, jaki zwykliśmy wyobrażać sobie w Europie.

Wizytę tą rozpoczęło interesujące exposé jednego z wyższych oficerów I armii francuskiej. Oficer ten przedstawił gościom anglosaskim zarys trzech zwycięskich bitew, stoczonych przez I armię na ziemi francuskiej: Tulonu, Belfortu i Kolmaru, oraz obecnej sytuacji na alzackim odcinku frontu. Po obiedzie zdołałem się docisnąć do p. Early i zadać mu kilka pytań.

— Czy jest pan po raz pierwszy we Francji?

— O, nie! Biłem się tu już w 1917—18 roku, najprzód jako podporucznik, potem porucznik, wreszcie jako kapitan. Przebyłem wówczas pieszo połowę Francji. Obecnie jednak — roześmiał się p. Early — zmieniły się warunki. Przebyłem właśnie dwa tysiące kilometrów samolotem.

— Cel pobytu pana we Francji?

— Prezydent Roosevelt polecił mi zorientować się, co możnaby uczynić, aby ułatwić pracę korespondentów wojennych oraz przyspieszyć transmisje depesz. Odwiedziłem więc kwatery prasowe różnych odcinków frontu. Byłem w Holandii, w Luksemburgu, w Niemczech. A teraz jestem tutaj.

— Czy to prawda, że ma pan syna na froncie?

— Prawda! Jest porucznikiem w moździerzach i walczy na odcinku północnym. Spędziłem z nim parę chwil.

Stephen Early orientuje się doskonale w kulisach stosunków międzynarodowych, korci mnie więc zapytać go o to i owo. Wiem jednak z góry, że odpowiedziałby mi z tym samym czarującym uśmiechem, z jakim w Białym Domu odpowiada na liczne niedyskretne pytania

dziennikarzy, i nie powiedziałby nic konkretnego, gdyż nie wolno mu mówić. Pocóż więc pytać?...

ZE SWASTYKĄ I MIOTKĄ...

Jeśli Alzacja jest klejnotem Francji, Kolmar jest z pewnością najcenniejszą jego perłą. Żądne z pięknych miast Alzacji — Strasburg, Obernai, Keyserberg — nie dorównuje Kolmarowi. Dzięki swym starym domom, sięgającym XIV wieku i zdumiewająco podobnym do domków tyrolskich lub szwajcarskich, dzięki drzemającym kanałom „alzackiej Wenecji”, dzięki swej pięknej katedrze Kolmar posiada całkiem swoisty czar i oryginalny styl.

Ponadto Kolmar jest szczególnie drogi sercom wszystkich Francuzów ze względu na wybitnie francuski charakter tego miasta i jego mieszkańców. Mimo bowiem stylu budowli, różniącego się bardzo od stylu innych miast Francji, pomimo niemieckich nazwisk znacznej części jego mieszkańców, Kolmar pozostał zawsze francuski aż do głębi duszy, dziś zaś jest nim jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek. Kolmar był też ostatnim większym miastem Francji, oswobodzonym spod niemieckiego jarzma.

Wjeżdżając do miasta wczesnym rankiem, spotkaliśmy grupę cywilnych mężczyzn, dość przyzwoicie ubranych, z miotkami w rękach. Szli zamiatać ulice. Każdy z nich miał na ramieniu opaskę z czarną swastyką na czerwonym i białym polu. Byli to Niemcy — członkowie partii i kolaboracjoniści alzaccy. Szli do pracy w więzienia, pod eskortą uzbrojonych FFI. Trzeba było widzieć, z jakim uśmiechem triumfu spoglądali na nich mieszkańcy Kolmaru. Całą historię alzackiego męczeństwa można było wyczytać w ich oczach.

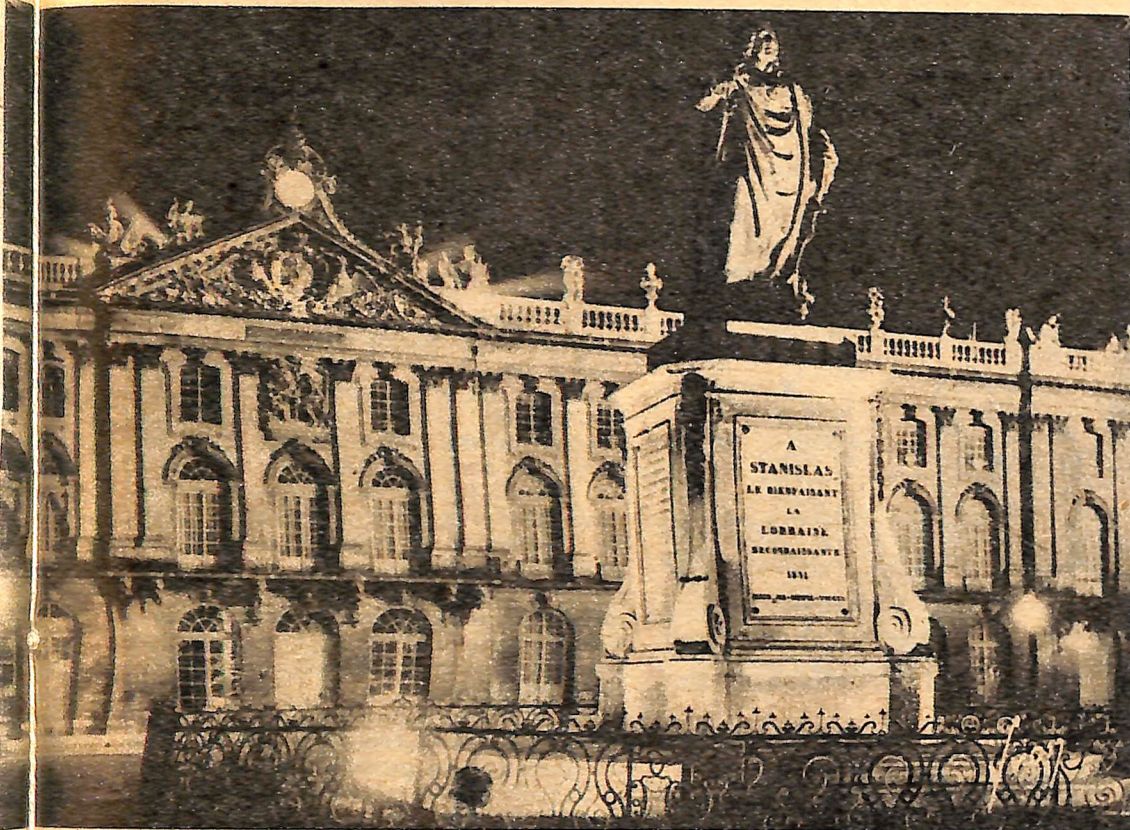
NA FRONCIE

Front jest o 18 km od Kolmaru, jest nim Ren. Pojechaliśmy tam przez Neuf-Brisach, dawną fortecę Vauban'a, Neuf-Brisach, odległe o 3 km od Renu, niedawno jeszcze było zasobnym miastem. Dzisiaj trudno doliczyć się tu choćby pięciu całych domów. Wszystko leży w gruzach. Najbliższe okolice miasta przedstawiają równie żałosny widok. Pola, pełne lejów, są usiane żelastwem. Tu i ówdzie wi-



Alka w stroju narodowym

Nancy — ratusz i pomnik króla Stanisława Leszczyńskiego



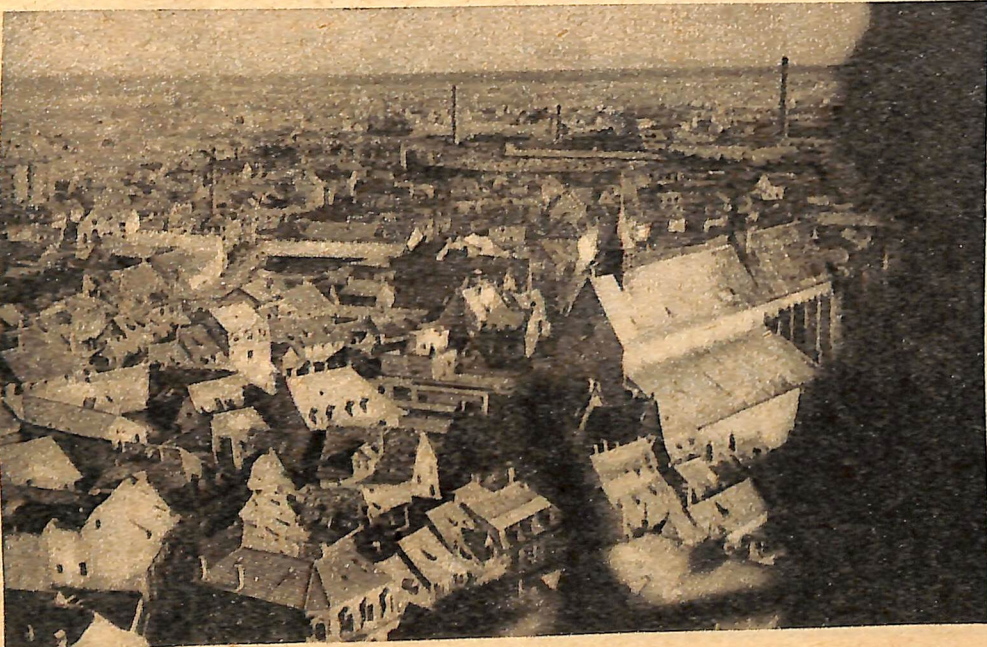
Podobno po nich napisy propagandowe



dzimy działa niemieckiej obrony przeciwlotniczej, które zrobione z drzewa i słomy, miały mylić lotników sojuszników. Droga jest niezwykle ciężka, pełna wody i błota, chwilami trzeba jechać po przetrzuconych naprędcie deskach, nawet jeźpowi trudno jest przebrnąć.

Dzień jest szary i deszczowy, lecz mgła rozciągająca się przed nami, nie wygląda naturalnie. Rzeczywiście, jest to ekran sztucznego dymu, ciągnący się wzdłuż rzeki i zasłaniający nasz brzeg przed wzrokiem nieprzyjaciela. Bez tej zasłony, położenie francuskich oddziałów stałoby się nader trudne, gdyż za-

Widok ogólny Kolmaru



jęty przez nich teren jest płaski jak talerz, podczas gdy, z drugiej strony rzeki, Niemcy górują całkowicie ze swej wysoko położonej cytadeli w Vieux-Brisach. Wzdłuż całego wybrzeża urządzili schrony i ich karabiny maszynowe zieją ogniem przy każdym ruchu nad samą rzeką.

Mamy przejść do starego fortu, o 300 m od Renu. Zainstalowano tam punkt obserwacyjny i pill-boxy. Do fortu jest za ledwie dwa kilometry, ale trzeba dobrze uważać na miny po drodze. Po obu stronach drogi same gruzy. Spotykamy jednak cywilów, pieszych lub na rowerach. Pozostali tu bez względu na ryzyko. Gdzie żyją i z czego, trudno odgadnąć. Są tu jednak i utrudniają operacje wojenne. Dlaczego ich nie ewakuowano? Nie ma, jakoby, prawa...

Fort pochodzi z epoki trzeciego cesarstwa, ma solidne mury i wnętrza. Dowódca odcinka, kapitan — weteran kampanii włoskiej, prowadzi nas do niskiej, sklepionej sali, z zakratowanymi okienkami w grubym murze. Stąd po śniadaniu wchodzimy na stary mur forteczny. Znajdujemy się pośrodku ekranu sztucznego dymu. Przed nami jest Ren, szeroki na 300 m, naprzeciwko zaś, na drugim brzegu, na wzgórzu, Vieux-Brisach ze swą cytadelą i katedrą, której wieżę obłupiły pociski. Miasto leży na odległość strzału, wydaje się puste.

Jeśli kto chce mieć pojęcie o zniszczeniach wojennych w Alzacji, winien przejechać się po szosie Kolmar—Strasburg. Odległość nie jest wielka, 67 km, lecz obrazy są przerażające. Przejedźdźmy przez Ostheim, które leży w gruzach, przez Guemar, zupełnie zniszczone, i przez tyle, tyle jeszcze podobnych miejscowości... Wszędzie, na szczątkach murów, na ścianach rozprutych domów, są ślady propagandy nazistowskiej. „Wir kapitulieren nie” (Nie poddamy się nigdy), „Deutschland wird doch siegen” (Niemcy jednak zwyciężą), „Elsass bleibt deutsch” (Alzacja pozostanie niemiecka)—takie napisy rzucają się w oczy.

Strasburg bardzo ucierpiał. Wspaniała katedra, jeden z najpiękniejszych zabytków gotyku kościelnego w Europie, jest poważnie uszkodzona. Dokoła kilka starych domów zburzonych zostało przez bomby, wiele innych doznało ciężkich uszkodzeń. Szyb nie ma prawie nigdzie, w mieszkaniach, ani w sklepach.

Atmosfera obecna stolicy Alzacji jest atmosferą frontu. Strasburg jest bowiem dziś odcinkiem frontu. O 3 km od centrum miasta płynie Ren. Tam jest most wiodący do Kehl, a raczej to co z niego pozostało, i — Niemcy. Wzdłuż wybrzeża domy przekształcone zostały w umocnione pozycje. Baterie dział i gniazda karabinów maszynowych strzegą francuskiego brzegu Renu. Mieszkańcy tych dzielnic zostali ewakuowani. W Strasburgu często słychać grzmot dział i terkot karabinów maszynowych. Czasem, jeden i drugi pocisk padnie na miasto, nie czyniąc zresztą wielkiej szkody, ludność

przywykła już do tego. Ruch uliczny, bardzo ożywiony, nie ulega przerwie ani na chwilę.

ULICA DZIKUSA

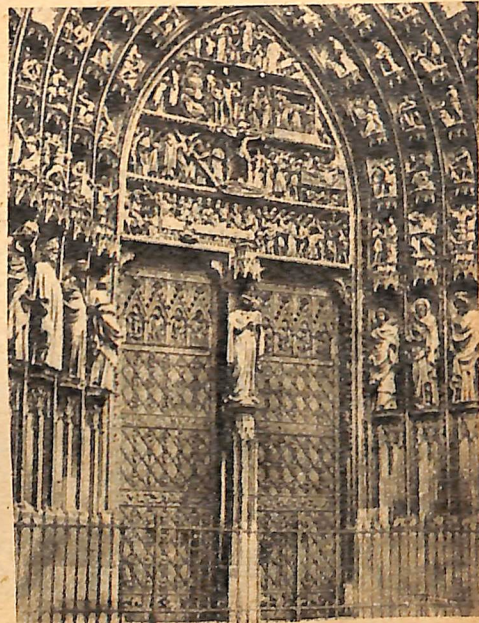
Wszystkie hotele, restauracje, kawiarnie i budynki użyteczności publicznej zarekwirovano dla wojska. Żywności jest mało, prąd elektryczny nie zawsze dopływa. Nie wolno wysłać ze Strasburga do Paryża nawet karty pocztowej. Na ścianach domów, obok starych afiszów hitlerowskich, pełno rozporządzeń władz francuskich, ogłaszanych z reguły w dwóch językach — po francusku i po niemiecku. Jedno z takich rozporządzeń wzywa wszystkich członków SS, SA, partii narodowo-socjalistycznej oraz jej instruktorów politycznych do stawienia się w określonym miejscu i terminie.

W Strasburgu widać jeszcze liczne ślady niedawnej obecności Niemców. Większość ulic znaczone jest podwójnymi tabliczkami — francuskimi i niemieckimi, przy czym nazwy nie zawsze są te same. Skoro już mowa o tych, ciągłych tutaj, zmianach nazw ulic, warto opowiedzieć historię, jaka wydarzyła się w Milhuzie. Główna ulica tego miasta nosiła od dawna nazwę „Ulica dzikusa” (Rue de Sauvage). Gdy w r. 1940 przyszli Niemcy, przemianowali ją natychmiast na „Adolf Hitler Strasse”. Ponieważ jednak tabliczki z francuską nazwą nie zostały od razu zdjęte, ulicę przez dłuższy czas zdobiły dwa napisy: u góry „Adolf Hitler Strasse”, u dołu „Rue du Sauvage”. Dużo było śmiechu z tego zestawienia.

Dzienniki strasburskie, jak i kolmarskie oraz milhuskie, publikowane są przeważnie po francusku i niemiecku. W tym samym numerze, te same wiadomości podawane są na przemian, w tłumaczeniach. Dzienniki te poświęcają dużo miejsca trudnemu zagadnieniu przystosowania alzackiego życia ekonomicznego do norm panujących w całej Francji. Za kilka dni marka niemiecka utraci w Alzacji swą wartość obiegową. Wszystkie ceny, zarobki i t.p. muszą być przystosowane do norm francuskich, co pociągnie za sobą poważną zmianę jednych cen i zniżkę innych. Pod względem ekonomicznym najbliższe tygodnie będą trudne w Alzacji.

Wystarczy porozmawiać trochę z mieszkańcami Strasburga, by wyrobić sobie pojęcie o cierpieniach, jakie Alzacja przeszła w ciągu ostatnich czterech lat. Warunki były tutaj nieporównanie cięższe, niż w reszcie Francji. Kraj ten był nie tylko okupowany, ale i wcielony do Rzeszy. Stąd bezlitosna eksterminacja elementów francuskich i wszystkiego co związane było z Francją. Tysiące zmobilizowano do armii niemieckiej, tysiące osób deportowano do Rzeszy, lub wtrącono do obozów koncentracyjnych. Dlatego nie należy się dziwić, że miasta i miasteczka Alzacji są wciąż jeszcze ustrojone w trójbarwne chorągwie i że żyją w nieprzerwanym świącie. Jest to naturalna reakcja po czterech latach przetrwania koszmaru, reakcja zrozumiała i zdrowa.

Strasburg — wejście do katedry



SZKOLNICTWO W ANGLII

Przygodnemu widzowi szkolnictwo brytyjskie wydaje się na pierwszy rzut oka chaotyczne. Różniąc się od systemów nauczania przyjętych na kontynencie, przy bliższym poznaniu okazuje się raczej bardziej skomplikowane, niż chaotyczne. Formowało się ono na przestrzeni wieków, w ścisłej łączności z takimi brytyjskimi cechami narodowymi, jak: wrodzona niechęć do przymusu, zaufanie do inicjatywy prywatnej, praktyczna zdolność raczej do ulepszania instytucji już istniejących, niż do ich likwidowania oraz siła uczuć religijnych.

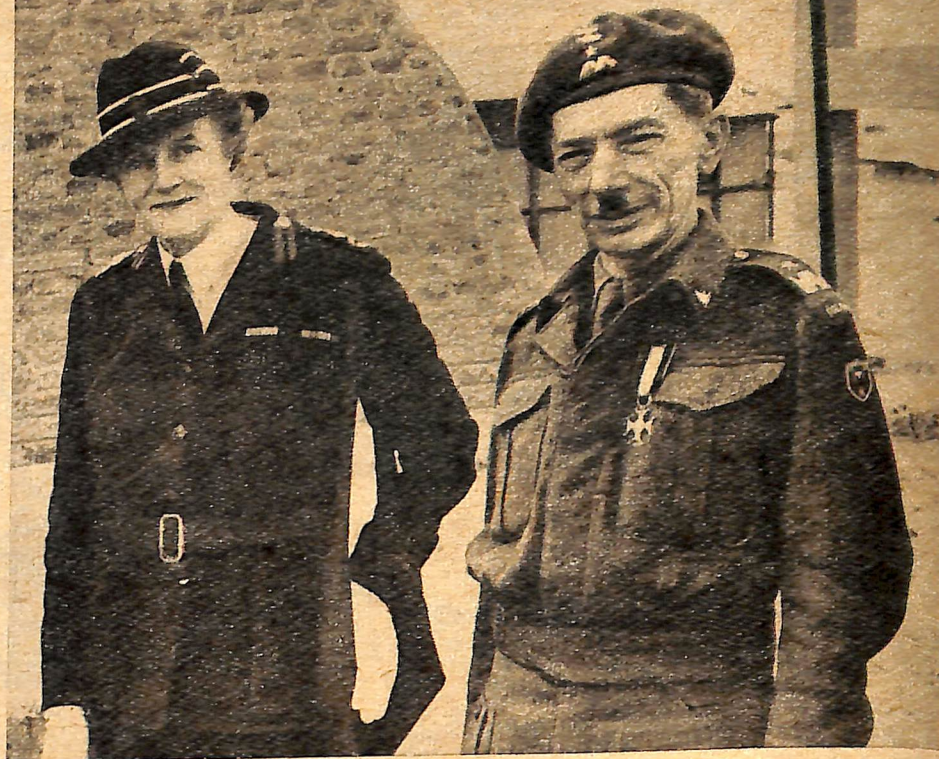
Właściwie dopiero w wieku XIX szkolnictwo brytyjskie mogło rozwinąć się szeroko w oparciu o subsydia, przyznane szkołom uchwałą parlamentarną, która przyczyniła się do powiększenia ilości szkół, istniejących do tej pory raczej jako fundacje prywatne o charakterze dobroczynnym. Rok 1870 przyniósł ustanowienie „urzędów szkolnych” zakładających szkoły we wszystkich okręgach Anglii, zależnie od miejscowych zapotrzebowań i na koszt mieszkańców. Następnie powstały instytucje o szerszym zakresie działania, obejmującym również gimnazja

i równorzędne im szkoły techniczne, tzw. „miejscowe władze szkolne”. Są to urzędy o charakterze administracyjnym, podlegające bezpośrednio Radzie Księżstwa. Naczelny Urząd Oświaty z prezydentem na czele odpowiada naszemu Ministerstwu Oświecenia Publicznego.

Władze szkolne są naogół silnie zdecentralizowane. Zadaniem Urzędu Oświaty jest przede wszystkim ogólna organizacja szkolnictwa oraz ogólne kierownictwo. Urząd Oświaty wpływa pośrednio na kierunek nauczania przez swoje publikacje fachowe i pomimo, że organizacja techniczna szkół leży w rękach miejscowych organów, wpływ tej instytucji na całokształt nauczania jest duży.

W Anglii są trzy rodzaje zakładów naukowych: szkoły powszechne, gimnazja ogólnokształcące i techniczne oraz uniwersytety. Większość stanowią gimnazja państwowe, lecz prócz tego istnieją szkoły klasztorne lub prywatne, utrzymywane w celach filantropijnych.

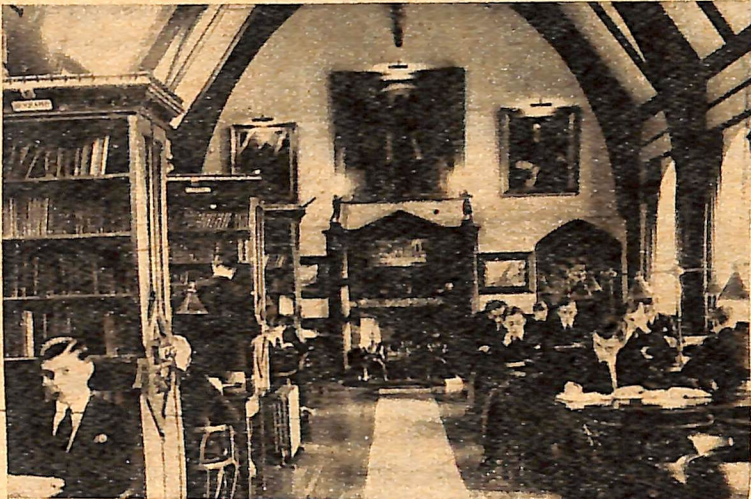
Do tej ostatniej grupy szkół średnich należą tzw. „Public Schools”. Zarówno one, jak i uniwersytety nie są utrzymywane przez rząd i zależą wyłącznie od



Pani Churchill, małżonka premiera W. Brytanii, gościła ostatnio w obozie Wojska Polskiego w Egipcie. Na zdjęciu: Mrs. Churchill w towarzystwie Generała Brygady J. Wiatra



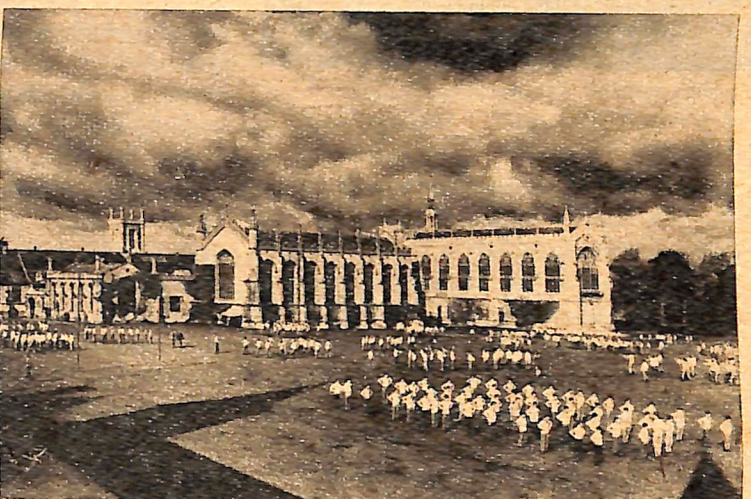
Po wykładach



Biblioteka szkolna



W pracowni



Lekcja gimnastyki

Ochotniczki polskie we Włoszech witały niedawno panią C. B. Luce, członkinię Kongresu St. Zjednoczonych oraz przedstawicielkę wielkich agencji prasowych amerykańskich



swoich własnych, niegdyś nadanych im dóbr ziemskich i od opłat, składanych przez studentów. Wśród nich najbardziej znane zagranicą są Eaton, Harrow (gdzie studiował premier Churchill), Winchester i Rugby. Nazwa „Public Schools”, w dosłownym przekładzie, szkoły publiczne, jest raczej nieporozumieniem, ponieważ tylko zamożniejsi mogą sobie pozwolić na studia, których roczne koszty wahają się od 150 do 250 funtów. Krytyczna opinia określa uczniów tych szkół jako „klasę wybraną” i rzeczywiście istnieje tam wyraźny podział socjalny, a ci, których udziałem było ukończenie takiej szkoły, mają na ogół szanse życiowe większe, niż inni. Zwolennicy szkół publicznych twierdzą natomiast, że kształcą one charaktery i trzeba przyznać, iż wychowankowie ich przedstawiają sobą pewien specjalny typ. Przyczyna tkwi zapewne w głębokiej tradycji, królującej w tych zakładach i wywierającej wpływ na uczniów, którzy stają się typowymi Brytyjczykami.

Public Schools posiadają internaty, w których uczniowie mieszkają po 30-40 w budynku, przy czym wszyscy, z wyjątkiem najmłodszych, mają oddzielne pokoje. Prócz samego budynku szkolnego i internatu, w zakładzie znajduje się kaplica, biblioteka, szkoła muzyczna, a

przede wszystkim stadion sportowy z boiskami do krokieta i football'u, kortami tenisowymi, salami do squash'a, pływalnią i pawilonem do gier.

Sport gra wielką rolę w życiu młodzieży szkolnej. Krokiet, football i wioślarstwo są wysoko cenione, a nawet mówi się nieraz, że prawdziwy uczeń poświęca im więcej uwagi i zapału, niż samej nauce. Dobry sportowiec jest ceniony zarówno przez kolegów, jak i nauczycieli, a wyniki osiągnięte w dziedzinie ćwiczeń fizycznych wyrównują nieraz nawet niedociągnięcia w nauce. W zasadzie jednak nacisk położony na sport nie przynosi szkody nauce, a niewątpliwie wywiera wpływ na kształtowanie charakterów. Public Schools cieszą się wielkim uznaniem w Anglii, a utworzenie ich było uważane za wielki krok naprzód w dziedzinie oświaty.

Spełniły one dotąd rolę niejako piomerską, ale coraz częściej opinia publiczna uważa je za przestarzałe i niezgodne z duchem demokratycznym Brytanii. Obecnie wchodzi w życie nowa ustawa przewidująca daleko idące zmiany, uprzystępniająca naukę w Public Schools szerokim masom młodzieży, na zasadzie stypendiów państwowych.

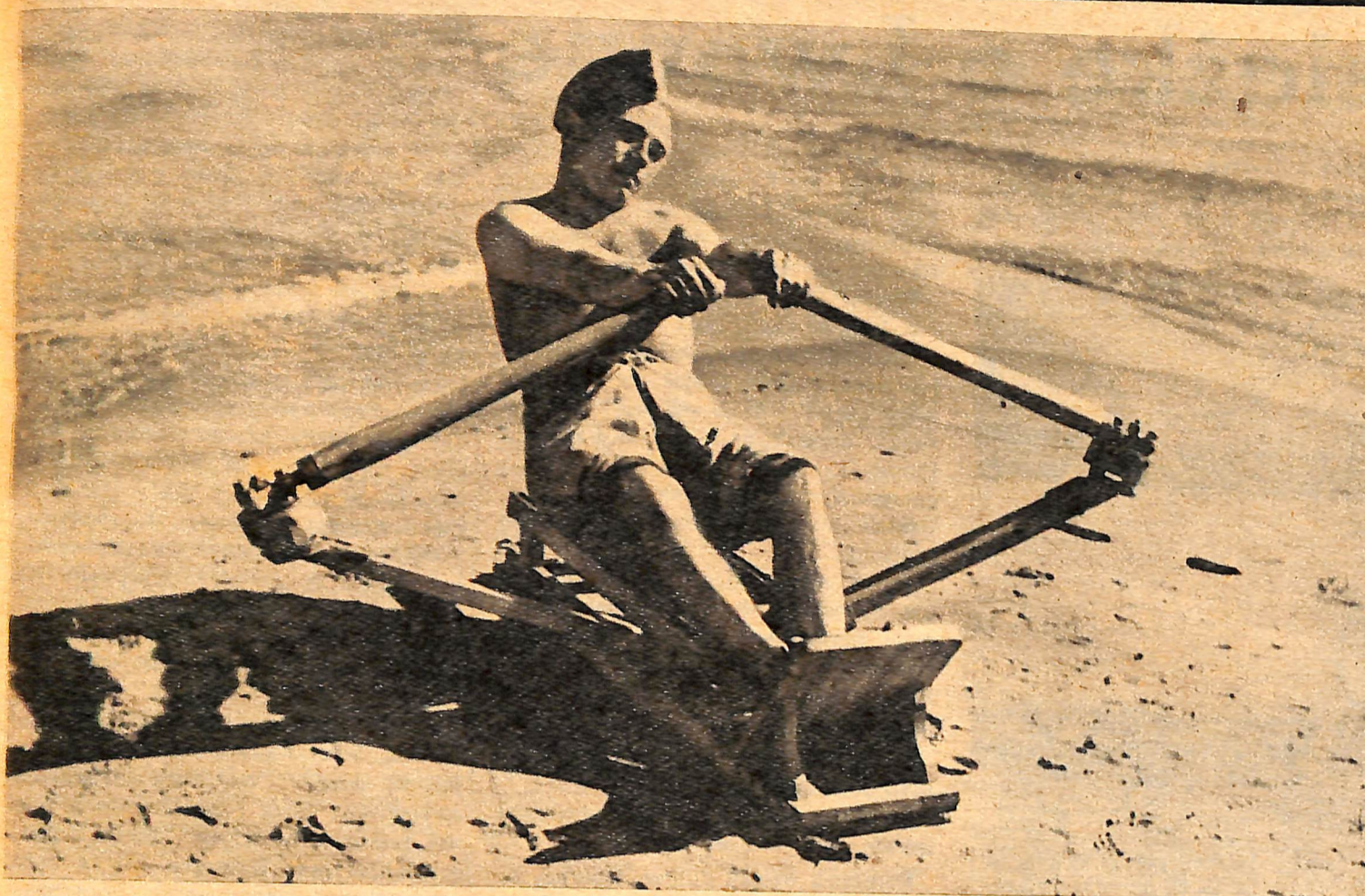
Jeśli chodzi o wyższe uczelnie, to tu przede wszystkim narzucają się nazwy dwóch sławnych uniwersytetów: Oxford i Cambridge. Większość ze znanych w historii Anglii postaci, to wychowankowie tych dwóch najstarszych uczelni. Podobnie jak w Public Schools — internatom odpowiadają uniwersyteckie College, w których skupia się życie młodzieży. Różni się ono zasadniczo od życia akademików na kontynencie tym, że studenci nie tylko uczą się pod nadzorem specjalnych profesorów-opiekunów, lecz również poza nauką w College'u panuje dość surowa dyscyplina i kontrola.

Niegdyś w Anglii nazwa uniwersytet oznaczała tylko zgrupowanie różnych College'ów, lecz z biegiem czasu rozrost wiedzy i idąca z tym potrzeba tworzenia odpowiednich pracowni, klinik, laboratoriów itp. przyczyniła się do ich połączenia w jedną uczelnię. Obecnie College stanowią materialną podporę uniwersytetu, żyją jednak odrębnym organizacyjnie życiem, a często nawet profesorowie i opiekunowie w College'ach tworzą zespół odrębny od wykładowców uniwersytetu. Spośród nich jednak jest wybierany rektor, który w Anglii nosi tytuł wicekanclerza uniwersytetu.

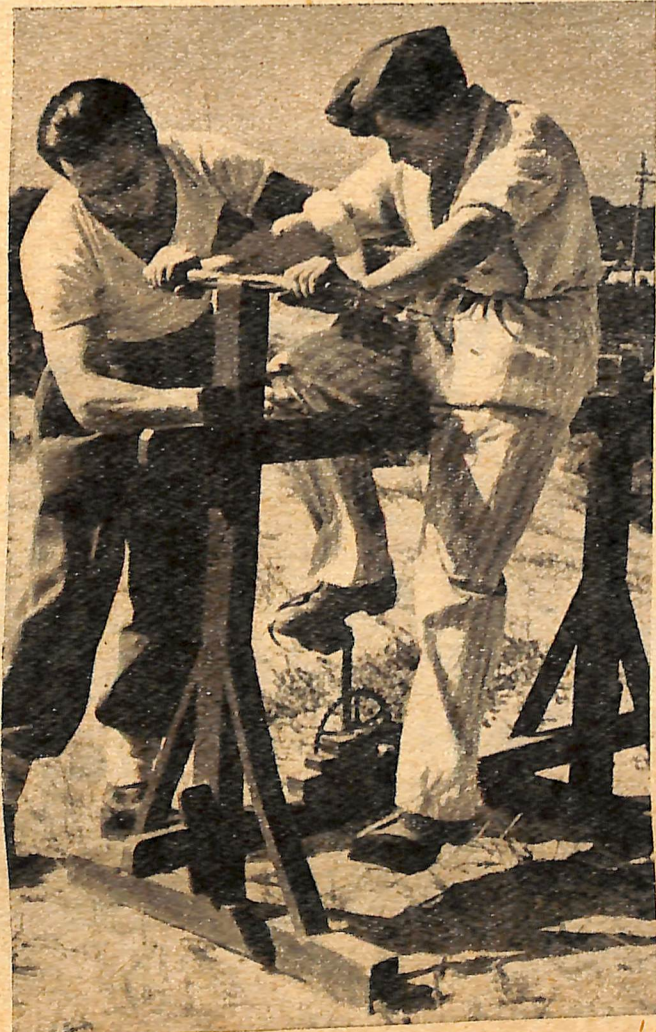
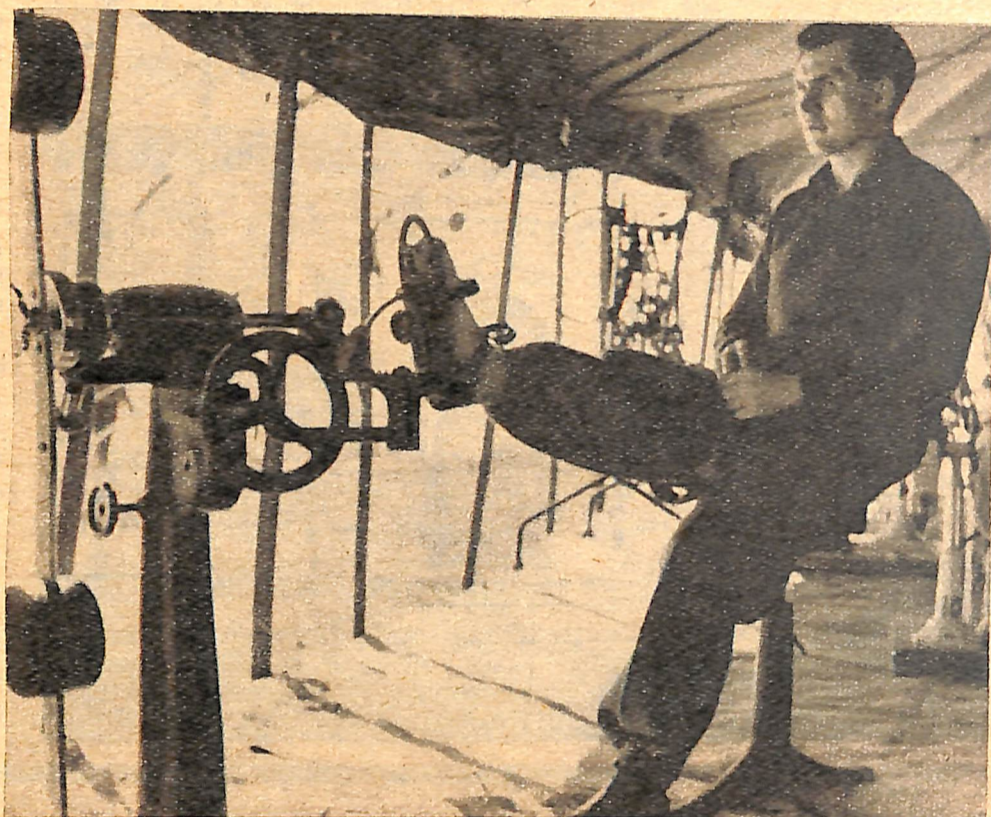
Życie w College'ach wyrasta z tych samych tradycji, które panują w szkołach publicznych. Kładzie się tam nacisk nie tylko na same studia naukowe, lecz również na wychowanie i kształcenie charakteru. Zmysł społeczny wyrabia zbiorowość, praca w różnych organizacjach i stowarzyszeniach studenckich, nad wychowaniem czuwają doświadczeni pedagodzy. I tu nie bez znaczenia jest sprawność fizyczna osiągnięta w sporcie.

Wszystkie te cechy, rozwijane w okresie życia, w którym umysł jest najbardziej chłonny, a charakter daje się jeszcze odpowiednio formować, sprawiają, że studia na uniwersytetach angielskich dają młodzieży dobre przygotowanie do samodzielnego życia.

POWRACAJĄ DO ZDROWIA



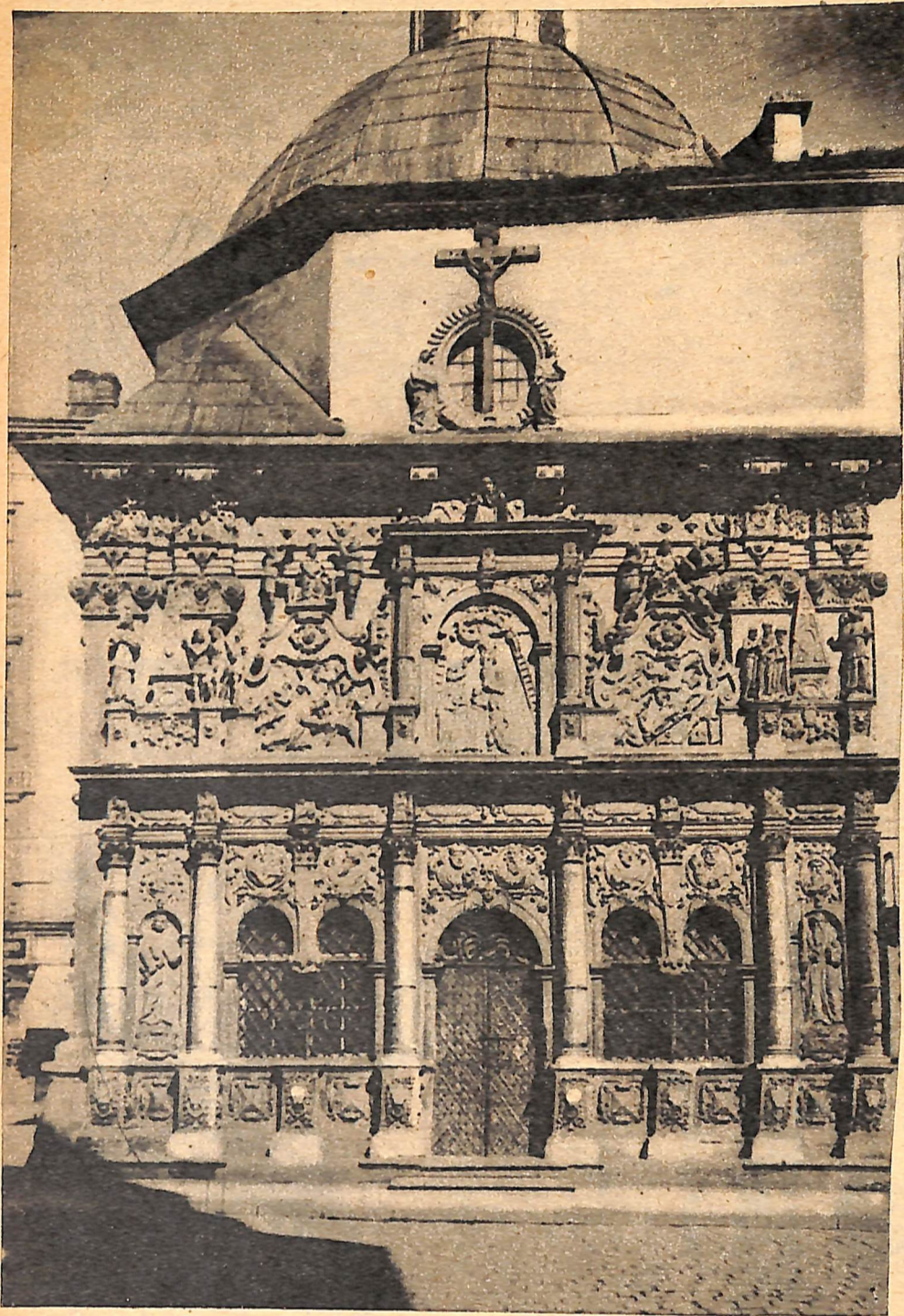
Wracają im siły, powraca i zdrowie — rannym i chorym żołnierzom 2 Korpusu — w tym m. p., które nosi przyjemną nazwę: dom uzdrowieńców. Tuż, o kilka kroków, jest morze, plaża i słońce, jest dużo wypoczynku i przyjemnej lektury świetlicowej, a poza tym są jeszcze bardzo groźnie wyglądające maszyny, które umiejętnie pod kierunkiem lekarza używane, przywracają rekonwalescentom dawną siłę, zręczność i zdrowie. Rower ortopedyczny, czy wioślowanie w miejscu, na słonecznej plaży, usprawniają zwiózniętą długą chorobą mięśnie. Nic więc dziwnego, że to nadmorskie m. p. cieszy się powodzeniem, a najlepszą jego reklamą są opalone, mocne postacie powracających do oddziałów żołnierzy.



Porucznik włoski pisze książkę o Lwowie

Nie od zabytków, pomników dawnej świetności i kultury jeszcze istniejącej, zacząłem zwiedzanie Rzymu; nie w Colosseum, czy w Watykanie nawiązałem

pierwszą z Rzymem znajomość, a w parku, wśród starych drzew wielkiego Pincio, z którego codziennie, niestrudzenie można oglądać panoramę wiecznego mia-



Lwów — kaplica Boimów



Politechnika we Lwowie

sta. Tędy, przez wiosną szumiące Pincio, wszedłem do Rzymu; tędy, wspomnieniem prowadzony Łazienek i parku Stryjskiego, powróciłem do Warszawy i Lwowa, do naszych ogrodów i lasów.

Przełot Kair — Rzym jest zupełnym przeskokiem, ze świata zamierających wspomnień, w kraj, w którym wszystko jest nam bardzo bliskie, w którym i wspomnienia polskie stają się czymś realnym, dotykającym, — jak te drzewa na Pincio, i zieleń dawno niewidziana, jak górzystość miasta, jak pamięć o Lwowie, właśnie tutaj, w tym parku rzymskim spotkana...

Tu, w miejscu mego wejścia do Rzymu, a powrotu do siebie, stanął obok mnie porucznik włoski. Patrzyliśmy w tym samym kierunku. Ponad placem del Popolo, ku bazylice św. Piotra i zielonej plamie drzew Gianicolo.

Nieżręcznie przerwałem milczenie zdawkową francuszczyzną.

— Mówmy po polsku — odpowiedział tenente. — Byłem we Lwowie...

Porucznik włoski, dobrze mówiący po polsku, nie tylko był we Lwowie. Zakochał się w nim również. Zakochał się w Polsce.

Dobrze jest mówić o miłości, przy szklance czerwonego wina. O Lwowie, o zrodzonej z wojny polskości włoskiego oficera słuchałem, pijąc Chianti, i z niebieskich jego oczu odczytując dziwną pasję dla Kraju, o którym jeszcze niedawno nic nie wiedział, a o którym dzisiaj pisze już książkę. Tej pasji nie narzuciły mu czyjeś opowiadania, ani książki, a własne przeżycia w Polsce, okupowanej i dręczonej przez Niemców. Że jest to naprawdę pasja, o tym świadczyło poprawne władanie językiem polskim, upór docierania do istoty polskości i widoczne wzruszenie, z jakim młodzieńczy, piękny tenente (porucznik) opowiadał o swym pobycie w Polsce.

— Dlaczego kocham Polskę? Wbrew pozorom odpowiedź jest łatwa, najprostszą. Przeżyłem tam najwięcej, w najładniejszym wieku swego życia. Miałem wtedy 21 lat. Z Polską, ze Lwowem, są

związane najsilniejsze moje wspomnienia, największe wzruszenia. Pamiętam wszystko, ludzi i Kraj. Nie zapomnę nigdy. Muszę tam powrócić, powrócę...

Porucznik włoski (nazwisko nie jest ważne) przybył do Lwowa w styczniu 1942 roku i pełnił służbę na dworcu lwowskim do czerwca 1943, kiedy przeniesiony został z powrotem do Włoch. W tym okresie wyjeżdżał na kilkanaście dni do Krakowa i Stryja. Mieszkał zawsze u rodzin polskich, najpierw we Lwowie przy ulicy Długosza, potem na Bogusławskiego, w Krakowie przy ulicy Grodzkiej. Stosunek ludności polskiej do Włochów był bardzo przychylny.

— Przychylność moich gospodarzy — mówił porucznik — zamieniła się szybko w zaufanie. Uczyli mnie po polsku i wtajemniczali w codzienne, ustawiczne kłopoty życia pod jarzmem niemieckim, — ojciec, zamożny przedtem kupiec, teraz gazety sprzedający na ulicach, córka — kelnerka w cukierni, i syn — znikający często z domu — czasem do więzienia, z którego zawsze udawało mu się wydobyć, czasem na „robotę”. Ukrywanie się było zawodem, stałym wprost zajęciem. Ukrywali się wszyscy, zdolni do „roboty”, ukrywano też niemal wszystko.

Włosi zatrudniali Polaków. Byli między nimi członkowie organizacji podziemnej, którym praca na dworcu kolejowym dawała możliwość łatwiejszej działalności. Jeden z takich tragarzy mówił doskonale po włosku, jeszcze z okresu studiów we Włoszech. Kiedy było mu za gorąco, otrzymał od porucznika mundur włoski i fałszywe dokumenty. Przejechał szczęśliwie, tak przejeżdżali również inni...

— Prześladowania, aresztowania?

— Nie wierzyłem dawniej, że Niemcy mogą być tak okrutni i podli. Każdy dzień we Lwowie otwierał mi oczy. Nie spotkałem ani jednego Niemca, któryby zachowywał się porządnie. Również kobiety niemieckie odnosiły się z pogardą do wszystkiego, co polskie, Polka mogła być tylko — jak otwarcie oświadczały — niewolnicą, używaną do najcięższych posług.

Największą akcją zniszczenia objęci zostali Żydzi. Pierwszy raz w sierpniu 1942 roku, kiedy część ludności ghetta wywieziono pociągami w niewiadomym kierunku. Później w listopadzie 1942 i w marcu 1943 wywożono ich do Bełżca, skąd już nikt nie wracał. Był to jeden z tych obozów, skąd nie ma powrotu. Niemcy oszczędzali tylko Żydów, którzy nosili na piersiach litery R (Rüstung) lub W (Wermacht). W obozie na Kleparowie przebywało stale około 4000 Żydów w warunkach, które najtrafniej charakteryzowało wynurzenie jednego z pełniących tam służbę SS-manów: „ich kann schon nicht weiter”...

— Widział pan biedę, często nędzę włoskich miast i miasteczek? Trzeba to pomnożyć wiele, wiele razy, a uzyska się obraz Polski w sierpniu 1943 roku, kiedy wyjeżdżałem do Włoch. Ponury obraz nędzy, w którym jasną stroną byli jedynie ludzie polskiego otoczenia, ludzie mojego — polskiego — domu. Takim domem był dla mnie i został Lwów. Po Florencji najbliższe mi dzisiaj miasto.

Słyszając pełne prostego, wzruszającego entuzjazmu opowiadanie włoskiego oficera, domyślałem się, że we Lwowie pozostały nie tylko jego wspomnienia, ale jeszcze — ludzie, jakiś, być może najbliższy mu dzisiaj człowiek. Dziewczyzna polska...

Książkę o Polsce, o Lwowie, porucznik opublikuje po wojnie, która dla niego jeszcze się nie skończyła. Ranny w nogę, w walce z Niemcami, teraz po wyleczeniu wraca znowu do korpusu włoskiego, gdzieś na odcinek.

Żegnamy się, a może tylko — do widzenia.

Signor tenente odchodzi — trzymając w ręku książkę, która przedziwnie zgadza się z naszym spotkaniem i całą rozmową: „POPIOŁY”...

Walka o naszą państwowość, zorganizowana i celowa, odbywająca się na wszystkich płaszczyznach życia podziemnego, przynosi oprócz zmagania samych, o ileż trudniejszych od dotychczasowych w naszej historii, ożywczy prąd idei. Nie określając jej i nie nazywając, należy zaznaczyć, że nie pokrywa się ona wyłącznie z ideą walki zbrojnej, że zawiera szereg treści, poszerzających pojęcie samostanowienia bytu narodu.

W tej samej atmosferze powstaje odrębna od wczorajszej twórczość. Spodziewamy to łatwo analizując dostępną nam dzisiaj częściowo twórczość poetycką, czytając konspiracyjne pisma literackie, słuchając prywatnych wypowiedzi autorów. Świadomość monumentalności przeżywanego czasu i poczucie odpowiedzialności za dziejącą się rzeczywistość, przekształca stosunek twórcy do życia i konsekwentnie zmienia jego postawę.

Ewolucję podobną widzimy w dzisiejszej piosence wojskowej.

Pozostała w niej znajoma nuta beztrojski, często żartu, wygłos jednak jest wygłosem heroizmu. To wiązanie różnych elementów udaje się tylko w piosence. Tęsknota za dziewczyną, za powrotem, cechowała pieśń wojenną od wieków. I w dzisiaj powstającej piosence żołnierskiej istnieje ona także, silniej jednak akcentując się zadaniem, pozostając do wypełnienia, o nim mówi się ukochanej.

*Biciem serduszka krok nasz odmierzaj,
na odgłos strzałów uśmiechnij się,
a ja radośnie będę uderzał na wroga
i na serce twe.*

Zadanie nie przeraża swą odległością i kontaktem ze śmiercią. Piosenka obiecuje wiele darów dziewczynie.

*Po powrocie ofiaruję ci
w mej manierce ten cud:
rybkę ze stonych wód lub korale
z mej krwi.*

*Po powrocie dam ci jeszcze dam
śniegu z wysokich gór,
wiatru z zielonych pól,
szybek z nieznanymi miast.*

Cel marszu kusi bardziej, niż dziewczyna. O odejściu myśli żołnierz nie ze smutkiem, lecz z radością gotowości:

*A jeśli bzy już będą, to bżów mi
przyniesi kiść*

*I tylko mnie nie całuj i nie broń,
nie broń iść...*

*A jeśli będzie jesień, to kalin kiść
mi daj*

*I tylko mnie nie całuj i nie broń iść
za Kraj.*

A pokusę powrotu odrzuca:
*Twoje okno w czerwieni doniczek
na dalekiej małej uliczce —
widzę nawet
szybki tżawe,
twój policzek,
a ja nie chcę Miła moja, wolę bić się.*

Pogarda śmierci w nowej piosence wojskowej nie jest nonszalancką, przypisywaną żołnierzowi „z urzędu”, cechą. To głęboka świadomość, że śmierć nie będzie daremna, to coś więcej, niż styl „życia wojaka”.

*Gdy pożar wojny krwią trza gasić
to cóż, gdy komu nawet przyjdzie lec,
ziemskie imperium z kroków naszych,
imperium Boga z naszych serc.*

Lub w innej piosence:
*Nie zdoła nas wstrzymać, kolego,
żaden już w kraju tym podły wróg,
czy wiesz — lekka jest — za kraj
nasza śmierć,
cichy sen da przy sobie Bóg...*

Piosenka dzisiejsza zrodziła się pod ziemią i to piętno rzeźbi jej treść. Pamięć krzywdy inspirowała wezwanie:

*Pamiętaj kompanio, pamiętaj
Ojczyzny pochmurny jęk
i krew przelaną pamiętaj, teraz
kompanio, twój dzień.*

*Śmiało więc, śmiało
przez zgliszczą, ogień idź
dosyć już czasu musiłeś twarz
swą kryć,*

Jednocześnie z zagadnieniem walki dochodzi do głosu w piosence zagadnienie solidarności cierpiących. Ona jest właśnie jedną z tych fal, składających się na ożywczy, mocny nurt idei:

*Spojrzymy sobie w oczy, choćbyśmy
byli zdala,
podajmy sobie ręce, nie znając
naszych imion,
bo czujesz chyba bracie, co w tobie
się zapala,
gdy czujesz, jak w Historię szeregi
nasze idą.*

Bije z tych słów żarliwość i szczerść. Każda sylaba, każda nutka jest drobnią płomienia. Bowiem w jego złowrogim zarysie tworzymy teraz.

W rodzinie nie można być bezstronnym. Na imieniny rodzinne mówi się za młodu wierszyki, a gdy się przekracza trzydziestkę i wierszyki z głowy wywiał, ma się wielki gust do całusów, no i do toastów. Teatry polowe, czy tam rewiiowe, albo jeśli kto woli czołówki teatralne, to już stara, nawet nieco podtataślała i podmamusiła rodzina 2 Korpusu. Wierszyków i pochwał napisano już o nich co niemiara, recenzje z „Polskiej Parady” doczekały się tego samego jubileuszu co wywiady z Cziang-Kai-Szekiem (to znowu żart, panie Romanie!), a całusy — i te już spóźnione. Trzeba więc, trzymając w ręku bukiet z róż (o tej porze sztuka kosztowała u Fregego w Sukiennicach złoty sześćdziesiąt), zwrócić w kierunku sceny, wypowiedzieć orację wcale nie jubileuszową, a przygodną. Zresztą poszukiwacze mogliby wynaleźć dla teatrów niejedną tęgi jubileusz! Najbardziej bowiem reakcyjną formą ludzkiego ducha jest dowcip.

Wedle ustalonego zwyczaju recenzentów trzeba zacząć od warunków pracy zespołów. „Bo to, proszę pana — z egzaltacją mówią panowie — występ po jednej próbie (przyrzucam, że po nieudanej próbie zmiany repertuaru), no i co to za buda, a w dodatku wszyscy chorzy i droga ciężka i ciągle przedstawienia i zima i Włochy i powietrze i głód i ogień i wojna...” „Czy pan sobie zdaje sprawę, jak podwiewa? Przecież my tylko w jedwabiach” — zaręczają panie.

Otóż aktorzy są po to, żeby byli niezadowoleni, a publiczność, aby być zadowolona. I trudno się ciskać: teatr, to służba wojskowa. Twarda, nieustanna, monotonna. Ale trochę słuszności czołwarkarce mają: pod front daleko i niewygodnie, pomieszanie pod zdechłym Azorkiem, menaż przeciętny (grochówka z bifem), a sale „teatralne” — pozał się Boże. Publiczność przynajmniej ma prawo przychodzić na spektakle w płaszczach, chuchać w ręce, a nawet je zabijając po fiakersku lubo ukradkiem czapę wsunąć na łysinę. A tu panienki w sukniach balowych, kolorowych falbankach, panowie za krakowiaków i górali. Wypinaj goliznę — myśli z satysfakcją żołnierz — nie tak to było pod Rinaldo...

W ten sposób wyrównują artyści w oczach widzów frontowe zaniedbania.

Z repertuarem teatrów rewiiowych jest krucha, ale przecież kierownictwa wychodzą z tego zwycięsko. Są dwa zespoły rewiiowe i dwóch kompozytorów programów, ich kierowników. Raz Paweł jest na górze, a Gaweł na dole, raz Krukowski na dole, a Ref-Ren (Konarski) na górze, ale zawsze obaj piszą, komponują i układają programy obu swych teatrów.

Bardzo rzadko trafia na scenę jakiś postronny autor dowcip czy piosenka. Po prostu nie ma pisarzy rewiiowych. Toteż trzeba z szacunkiem uchylić kapelusza przed Krukowskim i Konarskim, chociaż nieraz wieje ze sceny starzyzną, albo kiepską kuchnią. Tak się złożyło, że ostatnie przedstawienia rewiiowe miały wiele dobrego smaku i artyzmu. Nie można zapomnieć, że teksty, role i „genre” trzeba przystosowywać do żywego, niezmiennego zespołu i trudno wymagać, żeby Krukowski raz był zdradzoną małżonką, a raz rycerzem średniowiecznym. Albo żeby gruby Ende był szewcem Dratewką, a cienki Ruszała Zagłobą. Garścią maku nie utrzasz.

Wymyślili tedy kierownicy dwa nowe programy, jeden „z tekstem i muzyką” Ref-Rena, drugi „w reżyserii” Krukowskiego. Obaj mieli tę samą ambicję, aby dać przedstawienia ciągłe, stanowiące sceniczną całość, po prostu komedie muzyczne, gdzie byłaby ciągłość dramatyczna, a równocześnie miejsce dla popisów pieśniarskich i tanecznych. Lepiej udało się to Krukowskiemu, a dlatego, że ten mający dobry wdech reżyser oparł swoją „operetkę” na komedii Al. hr. Fredry „Nikt mnie nie zna”, wybrał z niej kościec akcji i wplotł w przeróbkę dobre dowcipy oraz szereg scen i dialogów fredrowskich. Osiągnął przez to kulturalny poziom widowiska, a modernizację reżysera, idące raczej w kierunku sentymentalnym, udało się szczęśliwie. Tytuł tej przeróbki brzmi „Zdrada... rada, maskarada”, a „dziejąca się w roku 1945 w Anglii” rzecz fredrowsko-krukowska (comparaison n'est pas raison) osnuta jest na chorobliwie podejrziwej zazdrości małżonka, który chcąc wypróbować cnotę żony przybywa do niej w przebraniu. Przyjaciele, chcąc go wyleczyć, urządzają w jego domu maskaradę, grając role szczęśliwych zalotników. Mąż (oczywiście z nim i w tej samej roli służący — idealna rola dla Józka Bielawskiego), przeżywa męki i szaty zazdrości, ale wszystko się wyjaśnia i cały zespół tańczy i śpiewa bardzo miłą piosenkę. W akcję smacznie wplecione są ładne piosenki sentymentalno-patriotyczne oraz tańce narodowe (odstona pierwsza rozgrywa się w barze, gdzie gości zastaje alarm lotniczy, co daje m. in. dramatyczny pretekst do wspomnienia Warszawy). Opracowanie muzyczne Al. Schuetza, taneczne J. Żadejki.

„Satyra rewiiowa” Ref-Rena „Pan Twardowski w Rzymie” stanowi zbiór scen z urlopowego życia żołnierzy polskich i ochotniczek w Rzymie, przepłatanych ingerencją postaci niezmiernych — Twardowskiego — ducha opiekuna żołnierzy i naiwnie pocziwego Belzebuba. Wyko-

rzystane są w przedstawieniu wszystkie obiegowe i aktualne dowcipy, humoreski i wątki ironiczne, a więc tarapaty auto-stopu X, kwatery w Rzymie, zwiedzanie wiecznego miasta, opera, signoriny, przewodniczka, czarny Amerykanin, hotel, narodowe wspominki i... piekło, gdzie zawędrowała ochotniczka Oleńska, natykając się na delegata Sowietunii z jego niezawodnym repertuarem radzieckim. Niektóre postacie i sceny narysowane są bardzo dowcipnie i przekonywująco. Muzyczynie są nierówności, jednak pieśń do signoriny i marsz „Credo 2 Korpusu” są doskonałe.

Przychodzimy do czułego punktu, z którego najlepiej jest się wykręcić frazesem „wszyscy grali świetnie — zamiast kogokolwiek wyróżniać, lepiej przepisać rolę”, do oceny artystów. Przebiegam oczyma z góry na dół i na odwrót po 29 rolach w rewii Ref-Rena i dochodzę do wniosku, że można się uwolnić od oceny jedynej tylko roli: psa. Poza tym, hm, hm — może czarnego, który tyle mruczy poprzez maskę, może signoriny, która tylko jest uroczą i koniec na tym. Reszta ocen może być już tylko własnym wyborem. Wybieram Renatę Bogdańską, która oprócz tego, że jest zjawiskowa, że śpiewa ślicznie (zwłaszcza w duecie z niezachodzącą sławą Zofią Terne (pokażała się triumfalnie w nowej roli: jako tancerka. Tańce jej „stawia” Jerzy Ney. Wybieram Pawła Prokopienego. Gdy on śpiewa, wydaje się, że dla tego śpiewaka nie ma rzeczy nieosiągalnych. Jakis nieogarniony, żywołowy głos.

W przedstawieniu Krukowskiego rolę jest mniej, ale wybór równie trudny. Pewne tylko, że na czele trzeba postawić Werę Ignatowicz, Mieczysława Pręgoskiego i Adama Astona. Potem tancerzy Żadejkę, Salomonowskiego, Łozińską i Mroza. A ponad nimi wszystkimi najwspanialszą gwiazdę — Sławę Ney. Czym jest ta wielka tancerka, można sobie było podumać na głośnych występach brytyjskiej Ensy — „Anglo-Polish balletu” w Rzymie. Mimo, że tam są duszą dwa polskie nazwiska — Czesława Konarskiego i Alicji Halamy, że tam jest wielki, bogaty, prawdziwie baletowy zespół, orkiestra, kostiumy — Sława Ney wydaje się być idealnie ponad wszystkie miary. Anglo-Polish ballet przez „Sylfidy” Chopina i „Krakowskie wesele” z bogactwem polskich tańców narodowych wywołuje wśród obcych entuzjastyczny zachwyt, a dla popularyzacji sztuki polskiej czyni niezmiernie wiele. Najlepszym zresztą jego numerem są „Schubertiana” Konarskiego i Halamy.

Oracja skończona. Ciężko się teraz będzie pokazać w rewiiowym teatrze.

Jan Bielawicz

N O W E K S I A Ź K I

Literacki ruch wydawniczy w Armii, coraz bardziej ożywiony, posiada szczególnie ważne znaczenie. Żołnierz polski spragniony dobrej lektury czyta dużo i chętnie, o ile tylko pozwalają mu na to warunki bojowe. Armia zaś, która składa się z najróżnorodniejszego elementu, raz wraz wyłania nowe, samorodne talenty. Autor i czytelnik, obydwa żołnierze, nieraz tej samej kompanii, owiani jednym duchem, rozumieją się wzajemnie, literat bowiem jest tu wyrazicielem myśli i odczuć czytelnika, który znowu zamienia w czyn hasła i słowa głośzone przez pisarza.

Jedną z nadestanych nam ostatnio książek jest tom poezji Janusza Wedowa pt.: „Wracające Żagle”.

„Wracające Żagle” jest to wybór najlepszych utworów autora, napisanych i częściowo drukowanych w pismach na przestrzeni ubiegłych trzech lat. Wiersze te, szczerze i bezpośrednio, barwne i melodyjne przez swą prostotę, niewymuszoność i świeżość odczucia z łatwością trafiają do serc czytelników. Wedow poeeta-żołnierz przede wszystkim jest głęboko wrażliwy na piękno otaczającej go przyrody, która porыва go i oszołamia, i dlatego w poezji jego szumi morze kołyszące statek z transportem wojska, srebrzy się piasek pustyni, goszczącej biały obóz namiotów i pachnie rozkwitającą wiosną huczących wojną Apeninach. Pod względem formy poezje Wedowa znajdują

się pod wpływem twórczości Stanisława Balińskiego, zwłaszcza niepreparaty czar „Poranku Warszawskiego” o-wioną swym urokiem autora „Wracających Żagli” w krótkim poemacie „Spotkanie”. Wzór piękny, lecz wpływ jego zbyt przemożny. Przypuszczać jednak należy, że bogactwo wojennych przeżyć, nieraz bolesnych i tragicznych, lecz mocnych i swoistych pozwoli autorowi „Wracających Żagli” wykuć własną formę artystycznej wypowiedzi, tym bardziej, że młodzieńcze wiersze Wedowa są już dziś wyrazem rzetelnego talentu.

Dywizja „Żubrów” wydała ostatnio niezmiernie ciekawą pracę zbiorową pod redakcją Lucjana Paffa, pt.: „Kresowa walczy w Italii”. Książka ta zawiera szereg zebranych artykułów, reportaży, wierszy i fragmentów literackich ukazuje czytelnikowi w świetle zbrojny Kresowej Dywizji Piechoty i wkład jej do walk we Włoszech, jak i miłość jej żołnierzy do polskiego Lwowa i Wilna, do Polesia i Wołynia, do Kresów polskich, o których prawdziwą wolność walczy w — Apeninach.

Książkę otwiera przedmowa generała Suliaka, który w krótkich słowach wyjaśnia zamiary wydawców i przeznaczanie ich wspólnej pracy.

„...Kiedyś, po wielu, wielu latach — pisze generał — może ktoś będzie szukał w tej książce prawdy o wal-

kach żołnierza polskiego we Włoszech. Czy ją znajdzie? I tak, i nie! Tak, bo opisy fragmentów bitew są szczerze, prawdziwe, uczciwe — przykłady męstwa, nawet bohaterstwa i niezwykłego poświęcenia nie kłamliwe, a jednak — nie! Bo pomimo całego rozmachu, z jakim niektóre obrazy zostały skreślone, nie sposób z tych kart odczytać całej krowawej męki, całego trudu umęczonego żołnierza Kresowej”.

Zarówno pod względem doboru materiału literackiego, rysunków, zdjęć, jak i artystycznej oprawy graficznej, wydawnictwo Kresowej stoi na bardzo wysokim poziomie. „Kresowa walczy w Italii” to bezspornie jedna z najwspanialszych książek, wydanych w Armii.

Wydawnictwem tym Żubry, w swej drodze do Polski zdobyły jeszcze jedną więcej pozycję.

Nakładem Sekcji Wydawniczej 3 Korpusu ukazały się Stanisława Ligonia „Bery i Bojki śląskie”. W zbioru tym autor, który przez szereg lat występował w rozgłośni polskiego radia w Katowicach pod pseudonimem Karlika z Kocynra, wydał najcelniejsze swe anegdoty, gawędy i opowiadania.

„Bery i Bojki” ilustrowane zabawnymi, bezpretensjonalnymi rysunkami przynoszą żołnierzowi niefrasobliwy humor.

Tadeusz Wittlin

KATOLICY AMERYKANSCY — 2 KORPUSOWI

W Rzymie odbyło się poświęcenie sześciu samochodów-kantin, ofiarowanych przez War Relief Services - National Catholic Welfare Conference, a mających służyć żołnierzom 2 Korpusu. Poświęcenia dokonał J. E. Ks. Nuncjusz Cortesi w obecności J. E. Biskupa Polowego Gawliny, przedstawicieli 2 Korpusu oraz p. Myrona Taylora, osobistego przedstawiciela prezydenta Roosevelta i p. Aleksandra Kirka, ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ruchome kantyny, przekazane Korpusowi zostały ufundowane staraniem Służby Pomocy Katolickiej Polsce, oddział NCWC. Kantyny skonstruowano w Detroit i wyposażono w nowoczesne urządzenia, pozwalające na pracę w terenie, w warunkach przyfrontowych. Na dachu każdej kantyny jest 50-galonowy zbiornik, dostarczający wody bieżącej. Wewnątrz wozu mieści się piecyk naftowy, kotły na kawę i herbatę. Ściany boczne samochodów otwierają się łatwo z obu stron, co umożliwia sprawne wydawanie napojów i posiłków. Sześć tych ruchomych kantyn, to nowy, jeszcze je-

den dorobek polskiego oddziału amerykańskiej organizacji pomocy wojennej.

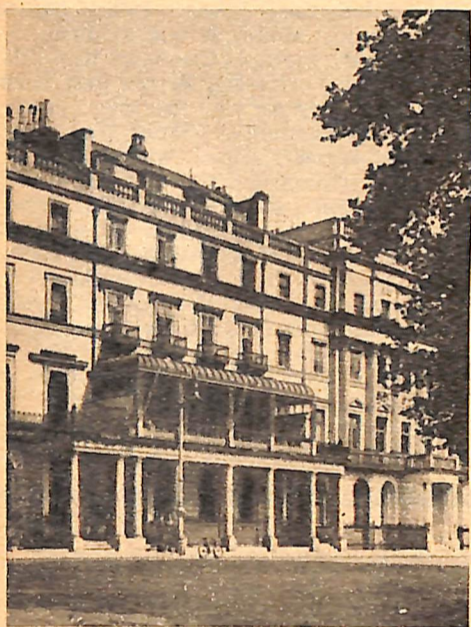
Na Środkowym Wschodzie, w Heliopolisie, Służba Pomocy Katolickiej Polsce w swym domu wypoczynkowym dla ochotniczek urządziła podwieczorek dla Anglików i Południowo-Afrykańczyków, którzy jako jeńcy przebywali w Polsce, w niemieckich obozach, a teraz wolni powracali do domu. Większość tych kilkuset ludzi zawdzięcza swe życie i wolność ludności polskiej, która na każdym kroku okazała się nie tylko sprzymierzeńcem, ale i przyjacielem. Polacy, sami prześladowani i głodzeni, uwalniali jeńców brytyjskich, karmili, odziewali i przechowywali, za co także — płacili. Płacili swym życiem. Wszyscy oni, ci uwolnieni z niewoli, z największym uznaniem i entuzjazmem wyrażają się o narodzie polskim — tych „wonderfull people”. Gościnność gospodyń tego podwieczorku, w którym udział wzięli także liczni przedstawiciele armii polskiej, spotkała się z serdecznością przybyłych z Kraju sojuszników.



Kantyny ofiarowane 2 Korpusowi



Podwieczorek w Heliopolisie



Ognisko londyńskie



Marszałek lotnictwa Sir Arthur Longmore odwiedza nieraz Ognisko Polskie

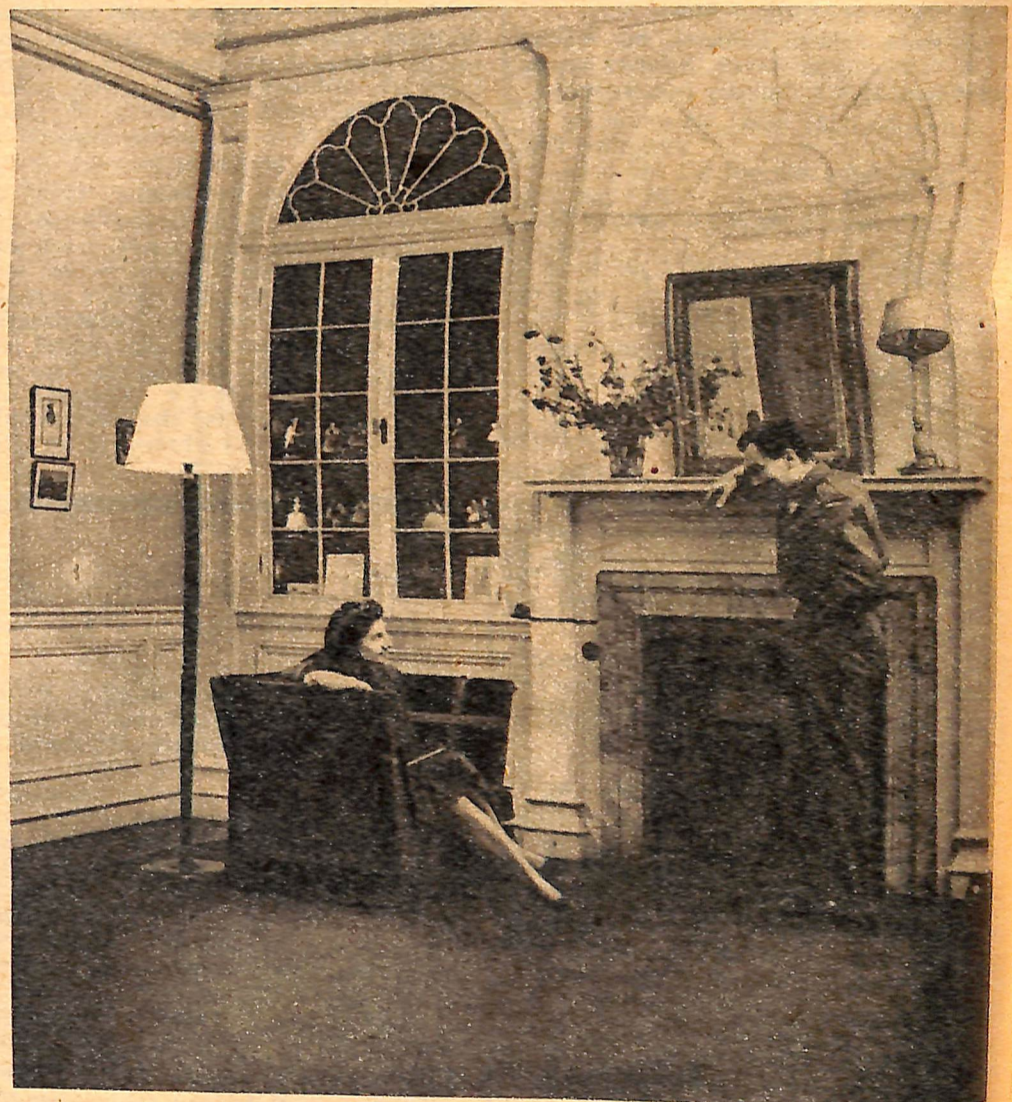
Ognisko polskie w Londynie

Nauka języka angielskiego

Przy kominku



Wydane w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.
Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.



W dużym domu przy ulicy Belgrave w Londynie mieści się Ognisko Polskie, przeznaczone w pierwszym rządzie dla żołnierzy naszych przebywających na terenie W. Brytanii, a także skupiające życie towarzyskie i kulturalne wszystkich Polaków, zarówno stałych mieszkańców Londynu jak i przyjezdnych. Ognisko zostało założone przez British Council.

W miłych, komfortowo urządzonych salach Ogniska, Polacy mają idealną atmosferę dla odpoczynku, toteż dla wielu z nich Ognisko stało się drugim domem, w którym spędzają wolne od pracy chwile. W klubie, który liczy ponad tysiąc członków, są czytelnie, świetlice, sala odczytowa i bridżowa. W Ognisku odbywają się lekcje języka angielskiego oraz wszelkie imprezy kulturalne i artystyczne, odczyty, koncerty itp.

Str. 3, 4 i 5: fot. U. S. Office of War Information, British Ministry of Information
Str. 5: fot. inż. W. Ostrowski, Chruściel, Hryniewicz
Str. 6 i 7: fot. T. Szumański
Str. 8 i 9: fot. S. C. A.
Str. 10: fot. J. Śliwiński, British Ministry of Information, Chruściel
Str. 11: fot. Michalski
Str. 14 i 15: fot. British Ministry of Information
Str. 16 — „Dobrzy znajomi” — fot. T. Szumański

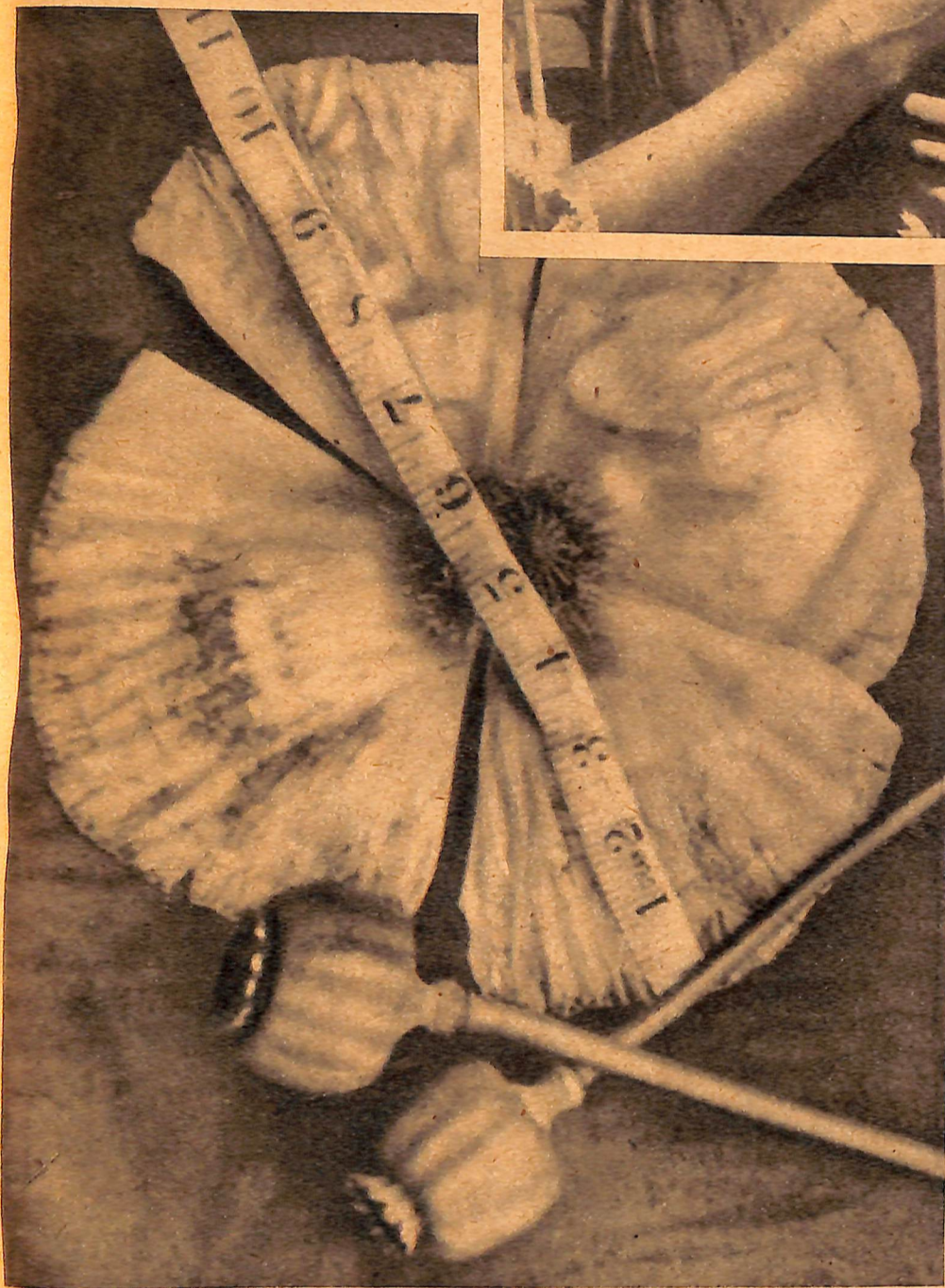
Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

Wyd.: Oddział Prop. i Kultury D-owa A. P. W. Adr. Red.: Polish Forces M. E. 20
Publishers: P.R., H.Q. Polish Army in the East. "Parade" Polish Forces M. E. 20

m a k i a u s t r a l i j s k i e

W czasie obecnej wojny, gdy szpitale przepełnione są rannymi, zapotrzebowanie na morfinę wzrosło wielokrotnie. W Australii, dokąd jeszcze do niedawna morfinę sprowadzano wyłącznie z zagranicy, obecnie, kiedy dostawy stały się niezmiernie utrudnione, postanowiono założyć własne plantacje. Dostarczone z Anglii nasiona maku i zasadzone w Australii, przyjęły się nadspodziewanie dobrze. I dzisiaj już olbrzymie przestrzenie australijskich pól pokryte są pięknymi kwiatami maku, a nowo powstałe zakłady chemiczne, wytwarzające morfinę z maku, głównie dla wojskowych szpitali, pracują wydatnie dla wspólnego wysiłku wojennego narodów sprzymierzonych.

Makówki i kwiat maku, z którego wydobywa się opium



Badanie gatunku maku

Początkowe stadium masowej produkcji morfiny

